Nr. 43. Poznań, Niedziela 27. października 1895 r. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański" wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Ul. św. Marcina 22, II.
Administracya: Piekary 6, parter 1.
Rękopisów drobnych nie zwracamy

Przedpłata kwartalna
wynosi **w Poznaniu** 4 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 5 Mr. (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce 5,50 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.

Pojedynczy numer: w Poznaniu 40 fen. pod opaską 45 fen.

TREŚĆ.

Od dnia dzisiajszego znajduje się Administracya i Ekspedycya „Przeglądu Poznańskiego" na Piekarach Nr. 6, parter I.

Obyczajność na wsi.

Do pewnych twierdzeń nawykamy tak, że w końcu przyjmujemy je zupełnie bezkrytycznie, a jeżeli twierdzenia te dotyczą objawów życia społecznego, w których każdy uznaje siebie za kompetentnego sędziego, to ustaje nawet usiłowanie dowiedzenia się prawdy. Przypomnijmy sobie n. p. twierdzenie o „dawnych dobrych czasach", o „złotym dniu" rzemiosła i t. d. Do takich też utartych poglądów należy ten, że wieś jest „moralniejszą" od miasta. Czy rzeczywiście kiedykolwiek bukoliczne rojenia o sielskiej prostocie miały jaką podstawę, nie tu miejsce rozstrzygać. Chcemy natomiast pomówić o dwóch ankietach, urządzonych w celu zbadania stanu moralnego ludności wiejskiej przez niemieckie „Sittlichkeitsvereine". Pierwsza ankieta, urządzona w r. 1894, dotyczyła całego państwa niemieckiego; rezultaty jej ogłosił pastor C. Wagner.*) Druga, więcej przedstawiająca dla nas interesu, dotyczy Księstwa i Szląska.**) Nie podzielając wielu poglądów obu autorów zacytowanych prac, sądzimy jednakże, że rezultaty, do jakich doszli, nie obojętne są dla ogółu; pomimo więc, że temat jest draźliwym, podajemy tu niektóre wnioski ogólne. Pruderya, spuszczająca wstydliwie oczy, nie na miejscu jest wobec doniosłych faktów życia społecznego.

Ci, którzy dziś jeszcze podzielają pogląd o „zepsuciu" miasta i „czystości obyczajów wiejskich", zapominają przedewszystkiem, że i wieś została wciągniętą w wir przekształceń społecznych, eo ipso więc musiały zmienić się i stosunki życia domowego, a z niemi musiały się zmienić obyczaje. Patryarchalny n. p. stosunek ojca do dzieci zmienia się z chwilą, kiedy dzieci te zaczynają pracować i zarabiać w młodym już wieku; stosunki pomiędzy miastem i wsią dziś są jak najściślejsze, ogromna ilość młodzieży wiejskiej pracuje w fabrykach, bądź czysto wiejskiego przemysłu, jak cukrownie i gorzelnie, bądź w fabrykach innych, zakładanych na wsi, lub też coraz częstsze stosunki zawiązuje z miastem. Naturalnie, że wobec tego niwelują się poglądy i sposób życia. Nic więc dziwnego, że jednemu ze sprawozdawców wyrywają się wyrazy: „Die Unsittlichkeit des Landes fluthet in die Stadt und der Schmutz der Stadt vergiftet wieder die Luft des Landes".

Jedną z klęsk życia wiejskiej ludności jest ciasnota mieszkań. Oto co mówi poważny znawca życia wiejskiego Wittenberg, cytowany u Wagnera.

Opowiada on, że zdarzało mu się widzieć pomieszkania, składające się z izby i alkierza, w których spali rodzice, pięcioro lub sześcioro dzieci, po części dorosłych i jeszcze parobek lub dziewka. Tem, zdaniem autora, tłomaczą się liczne wypadki kazirodztwa, obserwowane śród ludności wiejskiej. Jeden ze sprawozdawców opisuje takie stosunki: Czteroletnie dzieci, a nawet starsze, sypiają w jednem łóżku z rodzicami, w tejże komorze śpi dziewka, w sieni parobek. Sypialnie położone obok siebie tak, że dziewczęta przechodzą przez sypialnie parobków, nie są rzadkością i t. d. i t. d. O Księstwie specyalnie pisze p. Wittenberg: „I tu również rozlegają się najczęściej skargi na ciasnotę mieszkań, przytem u znacznej części ludności należy jeszcze uwzględnić skutki niechlujstwa i biedy; 8 osób częstokroć ma tylko trzy a nawet dwa łóżka do rozporządzenia".

Drugim tematem do skarg jest przedwczesny rozwój płciowy, spowodowany brakiem wszelkiego dozoru nad dziećmi i oddaleniem szkoły, do której chłopcy i dziewczęta udawać się muszą razem. Dodajmy, że skutkiem tego wczesnego rozwoju w bardzo licznych wypadkach jest lubieżność, prowadząca do nienaturalnych wykroczeń, a otrzymamy obraz niestety aż nadto ciemny.

Prostytucya w właściwem znaczeniu tego wyrazu nie istnieje, jednakże Wagner taką wypowiada opinię: „Szczególne niebezpieczeństwo dla dziewcząt wynika z ich zależności od pracodawców, ekonomów i innych przełożonych". Jus primae noctis w pewnych odmiennych formach wytworzyły tu odmienne warunki. Wszyscy też sprawozdawcy mówią o demoralizującym wpływie służby wojskowej. Wprost oburzającym, niepodobnym prawie do wiary jest fakt podany przez Wagnera: Pewien pułkownik, udzielając żołnierzom urlopu na dzień Sedanu, nie wahał się przed frontem swojego oddziału powiedzieć: „Użyjcie wolnego czasu, aby się dobrze zabawić; kiedy byłem tak młody jak wy, wtedy ja... (słowa te zbyt są sprosne, aby je tu powtarzać) lecz nie chodźcie do publicznych kobiet, te was rujnują; trzymajcie się raczej służących!" I wobec tego bywają ludzie, rozprawiający o dobroczynnym wpływie armii na młodych ludzi!

Śród właściwych chłopów, włościan-posiedzicieli, jak wykazała ankieta, rozwija się francuski system Malthusa: nie mają oni więcej jak dwoje dzieci. Jest to bezpośrednim skutkiem drobnej własności chłopskiej; chodzi o utrzymanie gospodarstwa w rodzinie i unikanie cząstkowych podziałów. System francuski zdaje się być rozpowszechnionym głównie na zachodzie monarchii, jednakże początki ukazują się już nawet na Szląsku. W każdym razie dalecy jesteśmy od czasów, kiedy w rodzinie chłopskiej dzieci uważano za błogosławieństwo.

Oto są obrazy, jakie nam maluje ankieta pastorów ewangielickich (większa część bowiem członków „Sittlichkeitsvereine" i prawie wszyscy sprawozdawcy ankiety do tego należą stanu). Wobec tego powinnyby ustać owe poglądy idyliczne na wieś. Środki zaradcze, o jakich wspominają niektórzy ze sprawozdawców, zdają się nam bezskutecznemi a niekiedy wprost chybiającemi celu, n. p. domaganie się, aby przestrzegano wszędzie przy ceremonii ślubnej różnicy pomiędzy panną a „upadłą", pozwalając tylko pierwszej nosić wianek. A to tembardziej, że niektórzy ze sprawozdawców z godną uznania otwartością przyznają, iż nie zawsze obyczajność jest w stosunku prostym do liczby osób, uczęszczających do kościoła. I na tem polu objawów życia ludzkiego następuje przekształcenie bardzo i bardzo powoli. Rozwój prawdziwej obyczajności musi iść w parze z rozwojem prawdziwej kultury, i chcemy wierzyć, że i tu ludzkość w końcu wkroczy na jasne tory. Kto jednakże spodziewa się zbawienia po starych ideałach, zawiedzie się. Jeżeli ankieta pastorów nie będzie miała innych skutków, to przecież przekonać powinna umiejących patrzeć, że powrót do „starych dobrych czasów" jest niemożliwym, kiedy upada nawet owa warownia konserwatyzmu: wieś.

Zb. Am.

*) Die Sittlichkeit auf dem Lande. Vortrag gehalten auf der VI. allgemeinen Konferenz der deutschen Sittlichkeitsvereine in Kollmar am 20. September 1894 von Pastor C. Wagner.

**) Die geschlechtlich-sitttlichen Verhaltnisse der evangelischen Landbewohner in den Provinzen Posen und Schlesien. Dargestellt auf Grund der von der allgemeinen Konferenz der deutschen Sittlichkeitsvereine veranstalteten Umfrage von Pastor H. Wittenberg. Leipzig, 1895.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

Z powodu agitacyi składkowej w celu zbudowania w Poznaniu „Domu Katolickiego“ wypowiada „Orędownik“ następujące trafne uwagi w nr. 243:

„Ks. lic. Glabisz z Murzynna na Kujawach rozpisał się o „Domie Katolickim“ obszernie w „Kuryerze Pozn.“

Ma on być podług niego — „Centrum unitatis catholicae“ — ogniskiem jedności katolickiej — obydwóch rchidyecezyi, mają się w nim odbywać zebrania wszystkich Towarzystw katolickich, zbiorowe zebrania z obydwóch archidyecezyi; mają radzić wszystkie warstwy naszego społeczeństwa nad naszemi najważniejszemi potrzebami; ma się zawiązać w nim kasyno katolickie, wielka czytelnia, księgarnia katolicka, wielki skład dewocyonalii, — mają się porozumiewać prezesowie stowarzyszeń katolickich, delegaci, patronowie, ma być biuro informacyjne, — jeżeli się fundusz zbierze, ma być hospicium — przytulisko dla słabowitych i osieroconych.

Przy tym rysunku rozmiarów zadań Domu katolickiego ks. lic. Glabisz starannie unika słów, jak „polski“, „narodowy“, — zna tylko u nas katolickie społeczeństwo, katolickie potrzeby, o polskiem społeczeństwie, o polskich potrzebach milczy jak kamień. Oczywiście milczące łączy w katolickich także polskie potrzeby; jest on zanadto dobry Polak, żeby potrzeby katolickie miał w społeczeństwie naszem inaczej pojmować.

Ale ks. lic. Glabisz nie może gwarantować za to, że nie zamkniętoby drzwi do sal Domu katolickiego tym Towarzystwom polskim i równocześnie katolickim, gdyby z naciskiem potrzeby polskie narodowe akcentowały. Że takby się działo, to rzecz pewna, jak Amen w kościele i to „wiekopomne dzieło“, za co ks. lic. Glabisz Dom katolicki w przyszłości uważa, stałoby się dziełem „wiekopomnego rozbicia“, do którego zresztą już bardzo mało potrzeba w naszem społeczeństwie.

Do progów tego Domu nie miałby nikt przystępu z tych hardych, twardych i zapalonych dusz, które przy obecnych stosunkach wierzą, że głównie narodowością polską trzeba się zająć, bo Kościół już sobie sam da radę, nie tak, to inak. A choćby też progi otworzono i nawet proszono, to wielu z takich obywateli nie poszłoby tam, gdzie narodowość polska miałaby tylko być ratowaną łaską i opieką katolicyzmu. Doczekalibyśmy się prędko stosunków jak na G. Szląsku i chwilowo w Westfalii.

Do jakiego wyuzdania dochodzi galicyjska prasa ludowa, kierowana ręką stronnictwa stańczykowskiego, o tem świadczy artykuł „Krakusa“ (z 28 września) wymierzony przeciw ks. Stojałowskiemu. Dla informacyi czytelników naszych dodajemy, że „Krakusa“ wydaje „Spółka wydawnicza polska“, na której czele stoi Stanisław hr. Tarnowski, — redaktorskiem narzędziem zaś jest pan Matusiak, ck. profesor seminaryum nauczycielskiego żeńskiego w Krakowie. W tym to organie hr. Stanisława Tarnowskiego, przeznaczonym do szerzenia zasad katolickich wśród ludu, czytamy:

„Przeklęty Stojałowski... zdrajca Stojałowski — nic innego nie pozostaje, tylko pójść do Cieszyna, wywlec draba z więzienia i wbić żywcem na pal — i to nawet za łagodna śmierć za tyle zbrodni. Zdrajców ojczyzny wiesza się na gałęzi jak psów, a ten nietylko jest zdrajcą ojczyzny, ale i zdrajcą wiary, tem potworniejszym, że jako kapłan winien jej być obrońcą. Godzien on istotnie pala — ale my go nań wbijać nie będziemy — i tego od nas Bóg nie żąda“.

Takie rzeczy drukuje organ konserwatywno-klerykalny, wywieszający sztandar oświaty ludowej i etyki katolickiej.

„Gazeta Opolska“ donosi:

„Konserwatyści w okręgu pszczyńsko-rybnickim odstąpili podobno od zamiaru postawienia osobnego kandydata do parlamentu, lecz postanowili razem z niemieckimi katolikami głosować na pana Huenego, aby Polaków pobić, tem bardziej, ponieważ pan baron Huene jest i dla nich odpowiednim kandydatem. Będziemy więc mieli znowu w Pszczyńsko-Rybnickiem piękny obrazek: Centrum w pięknem towarzystwie rządowców pójdzie w zapasy z ludem polskim“.

Do notatki powyższej dodaje „Dziennik Kujawski“:

„Nowy to dowód, jak nieprzychylnie przywódzcy szląskiego centrum usposobieni są względem Polaków. Dwadzieścia pięć lat walczyło centrum w tym okręgu z partyą konserwatywno-rządową, teraz, gdy chodzi o lud polski, łączy się przeciwko niemu z wrogami. To samo stało się w powiecie Raciborskim przed dwoma laty. Tam atoli centrum źle na tem wyszło, nie dopuściło do zwycięztwa Polaków, ale i samo przepadło, straciwszy dwóch posłów“.

O walkach górnoszląskich takie wypowiada zdanie „Orędownik“ w nr. 240:

„Zatarg na Górnym Szląsku, jakeśmy już raz zauważyli, toczy się tylko na zewnątrz o osoby kandydatów, w gruncie rzeczy o władzę i prawo do władzy: kto w sprawach wyborczych, politycznych będzie rządził ludem górnoszląskim — księża czy lud sam?

Około tej materyi toczy się cały zatarg od lat kilku i z natury rzeczy musi się z czasem skończyć na tem, że albo lud górnoszląski wyzwoli się z pod wpływów księży, pracujących pośrednio czy bezpośrednio dla germanizacyi i narodowość polska zostanie na Górnym Szląsku uratowana; — albo też lud górnoszląski będzie się musiał poddać owym księżom i wtedy ulegnie im i narodowość polska będzie zatraconą na Górnym Szląsku, oczywiście nie od razu, tylko podług znanej recepty „łagodnej“ germanizacyi

Przy zatargu tym nie chodzi o jakieś tylko odmienne zdania i zapatrywania, nie o chwilowe tylko różnice, które z czasem dałyby się wyrównać, ale o dwa stanowiska, o dwa obozy wręcz sobie przeciwne, przy których nie może być żadnego porozumienia, żadnej zgody, i które z natury rzeczy póty się zwalczać będą nawzajem, póki jedno z nich z pola walki nie ustąpi. „Katolik“ trafnie scharakteryzował obecną sytuacyę na Górnym Szląsku, gdy powiedział, że po jednej stronie jest ogień, po drugiej woda i wszelkie prawdopodobieństwo zgody jest wykluczone, wprost niemożliwe.

Ci księża na Górnym Szląsku, którzy temu ruchowi ludowemu wychodzą na przełaj, sami tę sytuacyę stworzyli i doprowadzili do tego, że dziś — zgoda z księżmi w sprawach politycznych stałaby się grobem dla narodowości polskiej na Górnym Szląsku, — a zrzucenie z siebie opieki księży politykujących — zbawieniem dla tejże narodowości“.

„Czas“ krakowski zamieścił z powodu otwarcia polskiego gimnazyum w Cieszynie gorący artykuł powitalny, z którego cytujemy ustęp następujący:

„Szląsk pozostał i pozostanie polskim pomimo nierozsądnych deklamacyi garstki Niemców, osiadłych w tej prowincyi, a Polacy szląscy mają przyrodzone i konstytucyjne prawa do należytego zaspakajania wszystkich swoich kulturnych potrzeb — mają zwłaszcza niewątpliwe prawo do kształcenia swej młodzieży we wszystkich szczeblach nauki szkolnej w języku rodzinnym..

...Witamy zatem nową szkołę jako nowy rozsadnik polskiej myśli, polskiej kultury i polskiego języka, jako kresową warownię polskości, tem silniejszą i trwalszą, że rękami całego społeczeństwa wzniesioną; jako potężną zaporę przeciwko wszelkim zamachom na polską narodowość na kresach; wreszcie jako widoczny znak narodowej siły i łączności. Nie jest ten zakład wynikiem sztucznej agitacyi, lecz rezultatem elementarnej niezwalczonej potrzeby. Życzymy nowemu zakładowi, aby się jak najpomyślniej i najspieszniej rozwijał i uzupełniał, aby spełniał wszystkie nadzieje, przywiązywane do jego założenia, a polską młodzież na Szląsku w narodowych i religijnych tradycyach i zasadach wychowywał·

W naszem smutnem narodowem życiu, przepełnionem goryczą klęsk, prześladowań, zawodów i złudzeń, założenie cieszyńskiego gimnazyum jest rysem dodatnim, szczęśliwym a nawet podniosłym“.

Patryotyczne to odezwanie się „Czasu“ wywiera tem milsze wrażenie z tego głównie powodu, że właśnie w kołach czytelników jego spoglądano długo z zimną obojętnością na emancypacyjne wysiłki Szląska austryackiego.

LITERATURA I SZTUKA.

Opinie literackie.

Wśród ubiegłej kadencyi parlamentarnej, podczas rozpraw nad antyprzewrotową ustawą, gdy posłowie opozycyjni utrzymywali, iż byłaby ona zabójczą dla literatury, gdyż nawet dzieła

---

Kandydat na radcę.

OBRAZEK KRAKOWSKI.*)

Pan Antoni Żywokost na Gandziarach Gandziarowski doszedł już pięćdziesięciu lat wieku. Zdrowie mu służyło, zaledwie kiedy niekiedy uciekał się do pomocy Morisona, a i to więcej dla zasady niż z rzeczywistej potrzeby; żonę miał dobrą kobiecinę, o czerwonych rączkach, lecz złotem sercu; dzieciaków Pan Bóg dał czworo, a najstarszy jest już za pan brat z Cyceronem, a Homera znał lepiej niż historyę własnego kraju, co zgodne jest z wymaganiami galicyjskiej Rady szkolnej; fortuna jakoś dopisała, bo oprócz gruntu nad Rudawą, dwie kamienice, jedna na Szewskiej, a druga na Floryańskiej, stoją sobie mocno, a choć brudne i odrapane, bo pan Antoni tradycyę szanuje, przynoszą 7 proc. czystego dochodu i to wewnętrzne zadowolenie, że się coś znaczy na świecie, bo dają one prawo głosu przy wszelkich wyborach, zacząwszy od powołania uzdolnionych do Komitetu dozoru kościelnego, aż do wyboru członków Rady Państwa. A taki głos to nie bagatela: jednym głosem pana Antoniego może przeważyć się szala za tym lub owym kandydatem, jeden zaś głos wybranego decydować może w sprawach monarchii, której znowu przedstawiciel w wieczorku muzycznym, czy tam koncercie państw europejskich, wywołać zdolny harmonię lub dysonans tak wielki, że wieki go odczują a narody opłakiwać będą.

Złośliwi, a jest ich w Krakowie, oprócz miejscowych dziennikarzy i korespondentów do pism lwowskich, poznańskich i warszawskich, liczba wcale niemała, zastanawiali się, zkąd pan Antoni doszedł do płacenia 1312 złr. i 24 ct. podatku wraz z dodatkami, kiedy, jak mówił nieboszczyk Wszystkowiedzki, ojcem Żywokosta na Gandziarach Gandziarowskiego był ubogi szewc w Starym czy Nowym Sączu, który zapewne przez uszanowanie dla pradziadów skrócił swoje nazwisko i zwał się po prostu Gandziarą. Wprawdzie pan Filip, serdeczny przyjaciel p. Antoniego, zaręczał, że w r. 1858 otrzymał pan Antoni spadek po zmarłej ciotce, właścicielce dóbr ziemskich, są jednak tacy, co utrzymują, iż ciotka p. Antoniego miała sklepik w Sukiennicach i choć siostrzeńcowi swemu dopomagała, pomoc ta jednak ograniczała się na kromce chleba, dzbanuszku mleka lub kawy, oraz na przykrojeniu od czasu do czasu jednej z części ubrania, pozostałej po jej niebożczyku mężu. Też same złe języki utrzymują dalej, że w r. 1859 zmarł w Krakowie ś. p. Karol Duhaczek, wielki przyjaciel młodzieży, który nie mając bliższych krewnych, majątek swój, wynoszący koło 50,000 złr. miał zapisać na stypendya dla uczniów Uniwersytetu. Tymczasem ku ogólnemu zdziwieniu testament się nie znalazł i daleki krewny zmarłego został prawnym skadkobiercą. Ponieważ zaś pan Antoni, wówczas prawnik na drugim roku, mieszkając obok ś. p. Duhaczka, był nieodstępnym jego towarzyszem podczas choroby i porządkował mu nawet papiery, przeto nic dziwnego, że spadkobierca wzruszony jego bezinteresowną przyjaźnią dla zmarłego, dawał mu bardzo wybitne dowody życzliwości, a nawet pono wynagrodził jego dobre serce monetą kurs w kraju mającą. Nagroda ta, wynosząca około 10,000 złr. pozwoliła panu Antoniemu porzucić studya uniwersyteckie i pożegnać się raz na zawsze z wszelką książką i nauką, do których wstręt od dzieciństwa uczuwał, a oddać się wyłącznie filantropii. Znając smutne położenia młodzieży, uznał się za egzekutora owego zaginionego testamentu ś. p. Duhaczka. Zaczął więc pomagać swoim byłym kolegom pożyczkami na dłuższy lub krótszy termin, ponieważ zaś miał wstręt do upominania się, pilnowania terminów, przypominania przyjętych zobowiązań mniej rzetelnym dłużnikom i t. p. używał więc podobno pośrednictwa p. Mojżesza Salzstangla, który zajmował się wyszukiwaniem potrzebujących, wystawianiem weksli, przyjmo-

*) Drobiazg ten osnuty został na tle wyborów do Krakowskiej rady miejskiej w r. 1887·

najsławniejszych poetów nie ostałyby się wobec cenzury policyjnej, ze strony rządowej zarzucano im przesadę, przecząc stanowczo, aby obostrzone prawo prasowe stosować miano do arcydzieł klasycznych.

Nie można wątpić o słuszności tych zapewnień, — utwory, które chlubę piśmiennictwa stanowią, któremi szczyci się naród wobec Europy, niewątpliwie budzą zbyt wielką cześć u ogółu, aby jakikolwiek wykonawca nowego prawa poważył się z zarzutami przeciw nim wystąpić — jednakże niezmiernie trafną odpowiedź dano ze strony opozycyi: Schiller nie był klasykiem, gdy tworzył „Zbójców“ ani Goethe, gdy pisał „Cierpienia Wertera“. Choć nowe prawo nie zaszkodzi uznanym powagom dawnym, to będzie mogło złamać niejeden wielki talent współczesny: jeżeli nie narazi Niemców na stratę arcydzieł, które już posiadają, to przeszkodzi im wzbogacić się w nowe arcydzieła. Jest istotnie rzeczą dziwną i zajmującą zarazem zestawienie sądów ludzi o rzeczach dawnych i współczesnych, gdyż ogólnie zupełnie innej używa się miary do ocenienia tego, co było, a tego, co jest obecnie lub w danej chwili się zaczyna Większość ludzi — a o tem nigdy zapomnieć nie należy — jest zupełnie pozbawioną samodzielnego zapatrywania. Zdania, które codziennie słyszymy z ust tysiąca, nie są istotnie zdaniami tych tysięcy ludzi, którzy je wygłaszają, lecz zapatrywaniem pewnej grupy jednostek, które ogółowi myśli swe poddać lub narzucić umiały. To też n. p. o utworach literackich, które już do historyi literatury zaregestrowane zostały, zdumiewająca panuje między ludźmi jednomyślność. Ludzie różnych temperamentów, przekonań, poglądów i kierunku uznania swe dla Goethego, Schillera, Szekspira, Mickiewicza prawie jednobrzmiącemi wygłaszają zdaniami i chyba tylko specyaliści krytycy usiłują jeszcze jakąś nową stronę odkryć w dawnych dziełach. Nikt nie kwestyonuje praw autora do wygłaszania tych lub owych poglądów, malowania scen mniej lub więcej jaskrawych. Dla czego? Oto dla tego, że autor jest wielkością uznaną, że go każdy podręcznik literatury ze czcią wspomina i czytanie dzieł jego poleca. Podręczniki literatury są dla większości ludzi jedynem kryteryum piękna w piśmiennictwie, — to co głoszono w klasie a w wypracowaniach szkolnych powtarzano bezmyślnie, stanowi dla wielu całkowity zapas literackich poglądów. Po za widnokrąg gimnazyum lub pensyi umysły ich nie sięgają i dla tego, jeśli chodzi o samodzielne ocenienie jakiegoś współczesnego autora, nie pomieszczonego jeszcze w szkolnych podręcznikach, gdy trzeba spojrzeć własnemi oczami, — bez pomocy profesów chwalić lub ganić, smak ich zawodzi. Najpiękniejsze rzeczy bywają potępiane, najsłabsze zyskują szybki, choć nietrwały rozgłos. Jest to prawie ogólną regułą, a wynika ztąd właśnie, że największe talenty są zawsze oryginalne i śmiałe, wskutek tego więc nie dają się ocenić przez porównanie; mierne zdolności zadawalniają się naśladownictwem i stają się przystępne dla umysłów płytkich, które do przechowanych w umyśle foremek szkolnych przymierzyć je mogą.

Każdy wielki poeta przy pierwszych krokach swoich na polu twórczości spotykał się z ostrą krytyką lub surowem potępieniem, każdemu prawie robiono zarzut z tego właśnie, co go później nieśmiertelnym uczyniło, — z odwagi wypowiadania nowych myśli w nowej formie. Słusznie też mówi Wollzogen, że każdy wielki talent jest rewolucyjnym; nie dążyłby bowiem do objawienia się, gdyby nie czuł, że coś nowego stworzyć, coś starego zburzyć może i powinien. Ogół współczesnych rzuca na niego kamieniem potępienia, a pociechę stanowi dla niego tylko myśl, którą niegdyś wyraził Słowacki:

„Kiedyś serca młode
Pokochają mnie za to, żem był śmiały
Jak Roland, który w pół rozcinał skały“.

Cześć dla gwiazd nowych wytwarza się zraz tylko w kilku wybranych umysłach lub w zastępach młodzieży, a staje się powszechną i obowiązującą dopiero wtedy, gdy młodzi wielbiciele zestarzeją się i wejdą do areopagu powag, któremu wolno upodobania swe ogółowi narzucać.

Jest to zwykła kolej rzeczy, znana wszystkim, którzy zjawiskami społecznemi się interesują i nad psychologią mas zastanawiać się zwykli. Nie zadziwi ich też fakt, że taka ogólnie uznana wielkość, taka potęga, przed którą cały czytający świat dzisiaj czołem bije, że Goethe w pierwszym okresie swej twórczości spotykał się z temi samemi zarzutami surowej i bezwzględnej krytyki, co najśmielsi nowatorowie teraźniejsi. W ostatniem dziele swojem „Menschen und Werke“ przytacza Brandes ciekawe z tej dziedziny fakta. W r. 1776 duński następca tronu zażądał od teologicznego fakultetu w Kopenhadze sprawozdania, czy dzieło Goethego „Cierpienia Wertera“ bez uszczerbku dla dobrych obyczajów może być czytanem. Gdyby odpowiedź wypadła przecząco, należało zapowiedziane tłomaczenie dzieła tego skonfiskować. Fakultet teologiczny po głębszem rozpatrzeniu sprawy uznał, iż dzieło zakwestyonowane „w y s z y d z a r e l i g i ę, i d e a l i z u j e z b r o d n i ę i d o b r e o b y c z a j e na szwank naraża“, wskutek tego więc zabroniono je drukować i rozpowszechniać. Nie ma, jak widzimy, najmniejszej wątpliwości, że na zasadzie antyprzewrotowej ustawy „Cierpienia Wertera“ dziś napisane, ukazaćby się w druku nie mogły.

Sąd fakultetu teologicznego w Kopenhadze nie był wyjątkowym i nikogo ze współczesnych zadziwićby nie mógł. W Medyolanie biskup polecił duchownym, aby całe wydanie tłomaczeń „Wertera“ wykupili i tym sposobem cichaczem z ruchu księgarskiego wycofali. Pastor Goetze w Hamburgu napisał o książce tej broszurę, w której twierdzi, iż jedynym jej celem jest „haniebne samobójstwo młodego narwańca usprawiedliwić i ten czarny występek jako bohaterstwo przedstawiać“. W Lipsku nałożono 100 tal. kary za posiadanie i rozpowszechnianie tego dzieła.

Starsi literaci Danii niechęć swą do Goethego rozciągali i na Schillera i na całą wówczas tak bogatą literaturę niemiecką. Jeden z nich, Pram, wyraził się w ten sposob do Oehlenschlägera: „Gdybym niemieckiemu podoficerowi powiedział: napiszesz mi taką sztukę jak „Wallenstein“, i gdyby mi ten nicpoń nie wykonał rozkazu w 24 godzin, zasłużyłby na 27 kijów!“ Inny znów poeta Sander wyrażał się o Goethem jako „o człowieku dzikich, niepohamowanych namiętności, który swego pięknego talentu na złe używa“. Wogóle uważano go wówczas jako niebezpiecznepo marzyciela, uwodziciela młodych ludzi, a czytanie dzieł tego niemoralnego pisarza było wprost rzeczą nieprzyzwoitą, która porządnej młodzieży ubliżała.

Zarzucano mu także pychę, zarozumiałość, brak powagi; — Baggesenowi, duńskiemu poecie, wydawał się kapryśnym i nieobliczalnym. Ten ostatni miał taką dla Goethego niechęć, że będąc w Zurychu, nie odwiedził Lawatera, nie chcąc u niego spotkać się z Goethem. Napisał też o nim wiersz, w którym taką naprzykład wyraża krytykę:

„Er hat dem Pöbel manches Buch geschenkt,
Worin *er* niemals dacht, und jede Zeile denkt!“

Brandes uważa słusznie, że te same wyrazy w dziesięć lat później uchodziłyby za najwyższą pochwałę.

Jeszcze w 1820 roku, gdy Goethe stał u szczytu swego rozwoju, pisze pewien duński romantyk minorum gentium: „Schiller jest to niewątpliwie duch potężny i pełen natchnienia, ale właściwej genialności, mojem zdaniem, w dziełach jego niema; co do Goethego to lekkomyślność, zuchwalstwo a przytem chłód marmurowy zupełnie jego umysł opanowały“. Jakże wielkie wymagania stawiają geniuszom miernoty,

---

waniem od dłużników akceptów i pobieraniem skromnego procentu, wynoszącego co najwyżej 8 proc. na miesiąc. Pan Antoni, jak każdy prawdziwy filantrop, pozostawał zawsze w ukryciu i korzystający z jego dobrodziejstwa nie wiedzieli nawet, komu je zawdzięczać mają. „Paskudna ustawa“ o lichwie jeszcze wówczas nie istniała, a pobieranie dość wysokiego na oko procentu łatwo da się wytłomaczyć tem, że niejeden z dłużników wyjechał daleko, zapomniawszy weksle wykupić, a paru nawet było tak niegrzecznych, że zaziębiwszy się na balu, zapadli na zapalenie płuc i przenieśli się po krótkiej lecz ciężkiej chorobie do wieczności, pozostawiając w nieutulonym żalu rodzinę, oraz pp. Mojżesza i Antoniego.

Nie jest zamiarem piszącego te słowa podawać obszerny, a bogaty w czyny życiorys p. Gandziarowskiego, zaczepiwszy jednak o źródło powstania majątku mojego bohatera, jako bezstronny historyk musiałem wspomnieć i o tych plotkach i bajkach, które charakterowi p. Antoniego, jak się czytelnik z dalszej narracyi przekona, nic nie uwłaczają, a są tylko jednym dowodem więcej, że zawiść ludzka szuka ofiar dla swej żółci nawet tam, gdzie należałoby złożyć wieniec zasłudze i prawości.

Rzuciwszy więc zasłonę na dalsze dzieje mego bohatera, winienem przypomnieć Szanownym Czytelnikom, że na wiosnę r. 1887 Kraków stał się widownią wspaniałych zapasów, nazywanych wyborami do Rady miejskiej. Na czas ten zamówiły drukarnie krakowskie wielką ilość papieru, a właściciele handlów jeszcze większą ilość tego gatunku piwa, które bez względu na to, skądkolwiek pochodzi, nazywa się zawsze pilzneńskiem. W tym czasie zrodziło się kilkuset „zbawców ojczyzny“, w tym czasie salus reipublicae była na ustach wszystkich, w tym czasie też mieliśmy samych Katonów i Demostenesów; pierwsi umieszczeni byli na kartach wyborczych, drudzy po knajpach i handelkach.

Każdy mniej więcej Krakowianin stawał się zaciekłym agitatorem, pojedyńcza sprzedaż numerów „Czasu“, „N. Reformy“ i „Kur. Krakowskiego“ zwiększyła się jednocześnie ze wzrostem ducha publicznego w narodzie; posłańcy rozdawali kartki, wzywające w imię najświętszych zasad, aby nie głosować na Patykiewicza lecz za Łopatowskim, a najtężsi z pomiędzy nich dźwigali osadzone na kijach plakaty, na których wielkiemi czarnemi głoskami wypisanem było, komu „obywatele-wyborcy“ mają powierzyć losy miasta i ojczyzny i czyje zasługi uczcić należy senatorskiem krzesłem w b. pałacu Wielopolskich. Apteki w tych dniach wydały wiele pigułek żelaznych dla zahartowania ciała zmęczonego w bojach o zwycięztwo prawdy i sprawiedliwości, a pan Ihnatowicz nadesłał ze Lwowa kilka pak „balsamu lingwistycznego“, po którego użyciu najbardziej strudzony język nabiera nowej elastyczności. Obywatele-szewcy otrzymali znaczną ilość podzelowań do prędkiego wykonania, a obywatele-lakiernicy wyprzedali cały zapas farby czarnej, którą „malowało się“ przeciwników politycznych. W dniach tych — chcemy obraz nieco jeszcze uzupełnić — profesorzy uniwersytetu wykładali po... warsztatach, doktorzy wzięli w czułą opiekę... zdrowych, stolarze heblowali uszy... krawcom, krawcy szyli... buty liberałom, szewcy kroili... kurtę stańczykom, lichwiarze rozdawali za darmo pieniądze, kamienicznicy zapraszali na wódkę niepłacących czynszu lokatorów, muzycy grali nie na skrzypcach i wiolonczeli, lecz na sercach ludzkich, a w teatrze jedynie z braku czasu nie wystawiono arcydzieła szekspirowskiego: „Wiele hałasu o nic“. Że zaś tam, gdzie walczą mężowie, idą z sercem i z szarpiami niewiasty, przeto i damy krakowskie szarpały języczkiem resztę płci swojej, każda stosownie do przekonań politycznych swego męża, w tej błogiej nadziei, że gdy zwycięztwo będzie po jego stronie, jej przypadnie w udziale nowa zarzutka lub kapelusik „a la grenouille“. Dla tego to, a nie dla czego innego, w drugiej połowie czerwca cicha dotąd i spokojna pani Antoniowa, stała się walczącym legionem, który niósł śmierć i pożogę wszystkim, co śmieli mu stanąć na przeszkodzie.

Bo trzeba państwu wiedzieć, że panu Antoniemu sprzykszyło się wiecznie wybierać, a nigdy

i jakże płytko moralizują niekiedy istoty bez znaczenia — dodaje Brandes.

Biskup Jan Paludan Müller stawia Goethemu zarzut, iż malował on człowieka jedynie jako mieszkańca ziemi, a nie jako dziedzica nieba zarazem. To było jego zdaniem, wielką zbrodnią poety; chcąc więc wzbudzić we wszystkich dobrych chrześcianach wstręt do dzieł jego, polecał gorąco książkę, zawierającą parodyę jego Wilhelma Meistra.

Biskup Grundtwig sądzi, iż we Fauście — w scenie, w której bohater zawiera przymierze z dyabłem, autor sam wobec własnej myśli uczucia grozy doznaje, a w każdym razie przejmuje grozą czytelnika, znającego historyę upadku pierwszych ludzi.

W innem miejscu mówi, iż „blask Goethego jest zimny i martwy; usiłował on nim pokryć i uszlachetnić wiele rzeczy trudnych w swych dziełach“.

„Historyą traktował Goethe z lekceważeniem a za karę odwróci się od niego i pominie go historya“.

Jak widzimy przepowiednia bynajmniej się nie spełniła.

Nazwiska krytyków i nieprzyjaciół Goethego, z których niejeden sam się może za jego współzawodnika uważał, pokryła nagła niepamięć, zarzuty ich wydają nam się dziś dziecinne — naiwne i śmiesznie zarozumiałe. Jednakże kamieniem na nich rzucać nie mamy prawa, ani też wyśmiewać ich nieznajomości rzeczy.

Gdyby Goethe był dziś między nami, gdyby obecnie pisać i wydawać dzieła swe zaczynał, obeszlibyśmy się z nim nie lepiej niż współcześni wielkiemu poecie krytycy i czytelnicy. Nauczono nas w szkole czcić kilka wielkich imion, a znajomość, jeśli nie dzieł, to przynajmniej ich tytułów uważamy za konieczny warunek średniego wykształcenia. Nie rozumiemy jednak ani ducha autorów dawnych, ani praw twórczości wogóle i dla tego rozróżniamy wielkie talenty tak jak podobno turyści angielscy rozróżniają w galeryach arcydzieła — tj. za pomocą gwiazdki umieszczonej w Baedekerze przy ich tytule. Bez Baedekera nie orientujemy się ani w dawnej, ani w nowszej literaturze. Jestem głęboko przekonaną, że naszej średnio wykształconej publiczności możnaby odczytać jako utwór bezimiennego autora niejeden ustęp z dzieł naszych wielkich poetów i wywołać okrzyk oburzenia na śmiałość, nowatorstwo, niemoralność, cynizm itp. Jeśli jednak z góry zapowiemy, że autorem jest ta lub owa uznana wielkość, ciż sami słuchacze wymagający i surowi ze czcią i uwielbieniem, choć może niezbyt uważnie, wysłuchają rzeczy, za które potępiliby autorów, mających tylko talent i dopiero dobijających się sławy.

Przypomina mi to oburzenie pewnej pensyonarki, która nie mogła darować Maryli, że za Mickiewicza nie wyszła. „Może kochała Puttkamera“, tłomaczyłam biedną Wereszczakównę. „Jak można kochać takiego Puttkamera, mając do wyboru wielkiego poetę“. „Mickiewicz wówczas dopiero zaczynał pisać — mówię dalej — nie był jeszcze wielkim poetą. Nie można wymagać od Maryli, aby w nim geniusz przeczuła“. — „Można — ja przeczułabym geniusz nawet w dziecku“. Winszuję, ale nie bardzo wierzę“. Cóż się okazało? Taż sama pensyonarka brała wówczas lekcye muzyki od Paderewskiego i nie cierpiała zarówno jego jak i jego lekcyi, które właśnie z tego powodu musiały się przerwać po kilku tygodniach. Talent jego oceniła dopiero później, gdy zdobył uznanie na obu półkulach.

Takie wiecznie powtarzające się pomyłki powinny nas nauczyć ostrożności w sądach i tolerancyi dla młodych talentów, które szukają sobie dróg nowych. Może kiedyś wnukowie nasi będą się w klasie uczyli nazwisk tych ludzi, których my dziś jako zarozumiałych nowatorów potępiamy. Dla tego też, kto bieg historyi śledził i rozumie, ten nigdy się nie zgodzi na narzucanie pęt duchowi ludzkiemu, wiedząc, że przemijają zakazy i cenzury, że przebrzmiewają płytkie moralizowania filistrów, a geniusze sławą okryci idą wciąż naprzód i ludzkość wbrew wszelkim zaporom idzie w ich ślady.

I. Moszczeńska.

Sylwetki poetów czeskich.

II.

Jarosław Vrchlicky.

Jarosław Vrchlicky wszechstronniej od Czecha zużytkował lutnię. Zadziwia ilością wydanych pieśni, mysz nie jest tak płodną jak natchnienie poety. A poeta mówi o wszystkiem — o potędze ducha i o nędzy robotnika. Czerpie materyał ze wszystkich stron, czasów, narodów. Poruszył, zda się, w utworach świat cały — nadewszystko starożytność i epokę odrodzenia. Jest on najpierw liryk, dalej epik i dramaturg. Wydał blisko 120 tomów, z czego 35 przekładów poezyi obcej. W każdym nadto niemal numerze tygodników czeskich znajdujemy co najmniej pół setki wierszy Vrchlickego. Ta niezwykła twórczość, a z drugiej strony wszechstronność tematów, świadczyć mogą bądź to o geniuszu, bądź o słabych stronach jego poezyi. Vrchlicky uważany jest za wielkiego poetę i cieszy się uznaniem daleko poza granicami kraju. Czesi mianują go czeskim Hugo, a więc zbiornikiem patosu. Minął czas, gdy Hugo był poczytywany za wielkiego mędrca; a Vrchlicky? Po przeczytaniu jego pieśni możemy na wyżej postawiony dylemat odpowiedzieć: „Vrchlicky nie jest geniuszem. Posiada on bajeczną pióra łatwość, włada pięknie językiem, (wraz z Czechem jest niejako twórcą nowej mowy czeskiej) zadziwia rymów doborem, oślniewa strof rozmaitością, ale zarazem nuży nas jego rozwlekłość słów, pustodźwięczność i jałowość w podawaniu myśli a bezmoc w przeprowadzaniu płodnych pomysłów.

W opowieściach z czasów starożytnych kryją się zazwyczaj myśli dość błahe, a już do obrzydzenia często mówi poeta o miłości, i mówi nudnie. Składa jej hołdy, jak bożyszczu, uznaje, że ona jedna jest czemś na świecie, i eksperymentuje na każdej bogini starożytnej, na legendach znanych całemu światu, których nadto bardzo często nie wykończa, jak mówi Horacy „aż do paznogcia“. Co za różnica między nim a Macharem! I ten mówi o miłości, w początkach gra na lirze Musseta i Heinego — w ostatnich zaś pieśniach ukazuje obrazy kobiet cierpiących z powodu miłości okłamywanej, niedoszłej, zamierającej i żyjącej w myślach, gdy ciało do innego należy. I Machar ceni miłość, ale jego boli, że „róże nie kwitną tam, gdzie powinnyby kwitnąć“, że warunki życiowe, towarzyskie i społeczne przemieniają nawet to pociech ziemskich źródło na stojącą wspomnień wodę, które pomimo, że trują, — odradzają się bezustannie, jako odblask słaby niezniszczonego szczęścia. W Macharze wszędzie kęs życia i psychologia, — u Vrchlickego strofy, rymy, piękne słowa i tyle.

A czy Vrchlicky umie przelać powab i życie natury na papier? Rozsiewa on wszędzie tyle dźwięcznych słów — djamentów, rosy, gwiazd i kwiatów, że pod ich deszczem tracimy prawie widok przyrody. Jako malarz natury i jako epik-poeta nie dorównuje Czechowi. Ten maluje obrazami, — tamten ładnemi słówkami.

Ale Vrchlicky popełnił samobójstwo, wydając „Twardowskiego“, gdzie rozstrzyga problem życiowy. Miło być towarzyszem garstki nowożytnych dostojników: Goethego, Byrona, Dostojewskiego i naszych tytanów; od biedy przyjemnie iść nawet pod rękę z Lenauem. Ale „Twardowski“ nie jest hasłem, na które

---

nie być wybranym. Czy to on co gorszego od jakiegoś doktora, aptekarza, lakiernika albo, Panie odpuść, żyda, aby nie mógł decydować czy na ulicy Wolskiej ma być bruk kostkowy czy zwykły, lub czy gaz zaprowadzić wcześniej na ulicy Krowoderskiej czy Łobzowskiej? Lata są, powaga jest, kamienice dają stanowisko w społeczeństwie, brak tylko tytułów i zaszczytów, a więc kiedy 33 krzeseł wakuje w Radzie, dla czegożby na jednem z nich nie miała zasiąść poważna i korpulentna postać pana Antoniego? Wybierał on już, prócz radców miejskich, posłów do sejmu i do Wiednia: Rydzowskich i Zyblikiewiczów, Majerów i Weiglów, Chrzanowskich i Mieroszowskich, a raz nawet jednego dnia dał głos do Rady Państwa liberałowi Romanowiczowi, bo tak mu poradził prof. od św. Jacka, a nazajutrz przy ściślejszych wyborach głosował za konserwatystą Machalskim, bo go o to prosił urzędnik ze starostwa, — słowem, wypełniał przez lat dwadzieścia sumiennie i ściśle obowiązki obywatela, niechże teraz obywatele nie odmówią mu swych głosów zaufania.

Tylko, powiadają, że kto chce wejść do Rady miejskiej, musi się oprzeć na jednem z stronnictw istniejących. Stronnictwa te nie przedstawiają tego lub owego kierunku w gospodarce miejskiej, bo ktoby tam na takie błahostki zwracał uwagę, ale rekrutują się z politycznych mężów, pracujących nad dobrem Europy i ludzkości. Pan Antoni, odzwyczaiwszy się od czytania, nie zajmował się nigdy kwestyami politycznemi, gazet nie przeglądał, w knajpach całkiem nie bywał, nie miał więc wyobrażenia o walce zasad i przekonań. Czuł tylko, że coś takiego istnieć musi, bo kiedy jeszcze chodził na prawo, słyszał, że ludzie w braku lepszego zajęcia kłócą się z sobą o jakieś idee, wymyślają sobie straszliwie, przezywają się i piszą na siebie niestworzone rzeczy. Obijały się również nieraz o jego uszy wyrażenia: ty stańczyku! ty warchole! — a chociaż nie badał, o ile te przezwiska są zaszczytne i co właściwie oznaczają, gdyż badania te nic wpłynąć nie mogły na wysokość pobieranych czynszów z jego kamienic, to wszakże jako człowiek inteligentny przypuszczał, że wyrażenia te mają jakieś znaczenie i wskazują na pewne różnice pojęć i zasad. Wiedział też, że stańczyki trzymają ze sobą, a liberały ze sobą, i że o łaskę jednych lub drugich przy wyborach ubiegać się należy. Pragnąc zapoznać się z zasadami stron obu, wezwał pan Antoni do pomocy dawnego swego przyjaciela, p. Salzstangla, pewny, że ten mu co potrzeba wyjaśni i rozumem swym dopomoże.

Pan Salzstangel po długim namyśle tak rzecz przedstawił:

— Widzi pan dobrodziej, potrzeba panu wiedziecz, że stańczyki to są ci, co zrobiali pogrzeb temu panu marszałkowi Zyblikiewiczowi, a liberały to ci, co zrobiali pogrzeb temu panu Kraszewskiemu, co takie piękne obrazy wimalowywał. Stańczyki to chcą, żeby tyjatr był na placu Szczepańskim, a liberały chcą go sobie wibudowacz na plac św. Ducha; stańczyki to chcą wistawicz z mosiądzu tego pan Tadeusza Mickiewicza przy nowem Kolegium a liberały chcą mu wistawicz na rynku; stańczyki to mówią: „bedźe Polska“ tak po cichu, coby nikt nie słyszał“, a liberały krziczą „bedźe Polska“ z wielkim hałasem“; stańczyki to mówią, że pan Jakubowski jest kepełe, a liberały co kepełe jest i pan Weigel i pan Romanowicz; stańczyki to chcą sobie wistawicz na błoniach i bidło i midło, i krowy i szelki, i kozy i wozy i cybule i gęszi i z pszieproszeniem szwinie, a liberały mówią co bedźe wielgi potop i bidło sze utopi i szwinie sze utopią i bedzie gewałt*); stańczyki to jak co u bidnego żydka pożyczą, to nie zawsze oddadzą, a liberały to zawsze by oddali, tylko im nikt nie chce pożyczicz; jak który hrabia ma gełd, to stańczyk, a jak un goły to liberał; jakby stańczyki nie mieli pieniądzów, to uni by buli liberały, a jakby liberały mieli dużo pieniądzów, to uni by buli stańczyki. A soj.

*) Szła wówczas walka o to, czy urządzić wystawę krajową.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

otwiera się świątynia, gdzie wielcy siedzą kapłani. Poeta za pomocą lichych bajeczek chce rozwiązać węzeł gordyjski. Używa on dwóch postaci — Twardowskiego i dyabła — i manewruje niemi jak może, aby przekonać, że jedyną mądrością jest rzucenie się w ramiona wiary. Pomijam wątpliwość takiego rozstrzygania kwestyi, ale gdyby choć przeprowadzenie tej myśli było estetycznie i logicznie wyzyskane. Cóż jednak, kiedy pan Twardzio to rozkapryszony dzieciak, a dyabeł to jego dobrze płatna bona, zadawalniająca malca zachcianki. Gdyby zamiast tego p. „boniarz“ wytargał raz i drugi smarkacza za uszy, byłoby po pisku. Dyabeł mógłby go wziąć na barana i hajda do Belzebuba. Jeno ów dyabeł — Boże zmiłuj się! — Gdybym był Lucyferem, dałbym mu zaraz kartkę zwolnienia ze służby. Zbytecznem jest przedstawiać życie Twardowskiego. Powiem tylko, że on nie sam oddaje się w ręce dyabła, jak Faust, lecz ofiarowany jest czartowi przez swego ojca i przyjmuje to nadto bez oporu, a problem życiowy rozstrzyga się przedewszystkiem za pomocą czynu, walki. Jest więc on zupełnie słabym, obcuje z dyabłem nie jak równy z równym, lecz od początku samego jest o całe niebo niższy od dyabła.

Mam to przeświadczenie, że większość po przeczytaniu „Twardowskiego“ zwątpiłaby, aby Vrchlicky mógł napisać coś potężnego. Krytyka poważna już dziś głosi, że od poety nie można się niczego spodziewać, okrom czasami zgrabnych wierszyków i mniej więcej udatnej liryki. A Vrchlicky ma zaledwie 42 lata. To wiek, gdzie od autorów oczekuje się największej siły myślowej.

O Konopnickiej mówią, że naśladowała Vrchlickego. Bez wątpienia. Poetka nasza ma w początkach też nadobłoczność, — w opisywaniu natury mglistość, wielosłowność a mało plastyki. W ostatnich jednak utworach, — zwłaszcza w nowelach, — jakaż tam jędrność! to prawdziwie męzka siła, prawda i naturalność. Konopnicka ma siłę rozwojową. A Vrchlicky? Najlepsze, najoryginalniejsze jego płody są początkowe. Im dalej w las, tem więcej obcych naleciałości. Konopnicka mniej chwyta, więcej myśli. Vrchlicky za wiele chwyta i pisze, aby miał czas dobrze przemyśleć. Zdaje się, że kiedy rzuca na papier pieśń, — tworzy jednocześnie już drugą w fantazyi.

Najwięcej prawdy, najszczersze uczucia znajdują się w jego początkowych zbiorkach. Smętny ton ogrzewa pieśni, myśli tam krótko i zwięźle wyrażone, są to utwory świeże, o porównaniach oryginalnych, z serca płynących. A już tutaj poeta potrąca o wiele strun. Z pierwszych występów widać, że autor będzie pił z różnych źródeł i nie zasklepi się w jednostajności. I tak jest. Ale poeta rychło przemienia się w wytwornego epikurejczyka. To arystokrata, wygodniś, miłośnik piękna, to człowiek-rococo, eklektyk, odziewający zazwyczaj swe pienia w najwykwintniejsze strof szaty. Pieśni jego to w znacznej części galerya obrazów, kopiowanych fantazyjnie z dzieł obcych, — lecz wszędzie znać rękę bardzo wprawną.

Jednak śród niezliczonej gromady pieśni znajdzie się zaiste nie mało i z pieczęcią jego indywidualności, bo Vrchlicky jest pomimo wszystkiego poetą, zwłaszcza lirykiem. I w liryce przedewszystkiem trzeba go szukać. A mniemam, że tu można wybrać tyle oryginalnych perełek, że bądź co bądź starczą na cenny naszyjnik dla ozdobienia jego muzy, i tyle delikatnych, egzotycznych kwieci, że wonią swą mogą nasycić miłośników poezyi. Ale nie szukajmy tam laurowych liści, z których upleciony wieniec zdobi sfałdowane myślami czoła ludzi-orłów: Goethów i Mickiewiczów; tych nie ma czeski poeta.

Jako dramato- i komedyopisarz Vrchlicky odznacza się ładną dykcyą, względnie bogactwem porównań, gdzieniegdzie humorem, ale brak mu siły przeprowadzenia charakterów również jak poważnej pomysłowości w zawiązywaniu intrygi. Więcej słów niż działania. Materyał zazwyczaj historyczny.

Najwięcej jednak może Vrchlicky zasłużył się swemu społeczeństwu przyswojeniem obcych dzieł i arcydzieł. Vrchlicky to czeski Canini. Dał on poznać Czechom 400 poetów cudzoziemskich. „Boska komedya“, „Jerozolima oswobodzona“, „Faust“ i „Dziady“ zostały przez niego udostępnione. Krytycy wprawdzie głoszą, że wiele z jego przekładów nie ma wartości, bo poeta nie pojął myśli (n. p. „Fausta“), ale jest spora ich wiązanka, które odpowiadają oryginałom. Z tem wszystkiem przekłady jego karmiły i karmią Czechów płodami najznakomitszych, zwłaszcza francuskich i włoskich poetów, którzy z powodu małej u Czechów znajomości obcych jezyków, nie byliby znani. Czesi zanadto zasklepiali się w literaturze niemieckiej.

Vrchlicky pozwolił im z innych czerpać źródeł i za to już należy mu się wdzięczność od rodaków.

Ze szkodą dla własnego talentu Vrchlicky oddaje się bezustannej pracy. Jest on maszyną piszącą. Utwory jego noszą też często znamię roboty maszynowej. Ale za to stworzył on tyle pieśni, ile z niebios spogląda światełek błyskotliwych, — jeno więcej śród nich planet, oblanych blaskiem słońca, niż promieniejących samodzielnie gwiazd. Niestety, spotykamy także mnóstwo, zwłaszcza większych pieśni, które nam przypominają niewyraźną, mdłą buzię księżyca, witanego już przez słonko wschodzące. Bo co do głębokości myśli Machar jest pewną siebie rybą rzeczną, która i do morza wiedzy dopływa, — Czech niejako kaczęciem, zanurzającem głowę w toń rzeki, które jednak nie przejrzało aż do dna. — a Vrchlicky to ptaszę, które i nad Oceanem fruwa, lecz ledwie zamoczy w nim skrzydełka, już śpiewa. A szkoda, bo gardziółko ma pięknym obdarzone głosem. Takiemi różnorodnemi trylami nie udarował literatury ani Czech, ani Machar, a jednak z większą rozkoszą czytuję ostatnich.

Vrchlicky wydał nadto kilka tomów powiastek prozą, studyum o Leopardim i profile poetów francuskich. Był pewien czas redaktorem „Svetozora“, a dziś jest profesorem uniwersytetu w Pradze.

Prawdziwe jego nazwisko Emil Frida.

Zygmunt Makowiecki.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Prawo kobiet i małżeństwo.

I.

O Zeusie, pocóżeś zesłał na ziemię kobietę — to okrutne zło, ludziom na biedę!“ — woła bohater Eurypidesa. „Rolą kobiety — jak twierdzi Indyanin — jest: otwierać kufer piekielny i wypuszczać na ziemię choroby, wojny, rozterki, głód itp.„ „Kobieta — uczennica żmii, wrota dyabelskie, ogon skorpiona“ — mówi chrześcianin z pierwszych wieków. „Nie może należeć do rodu ludzkiego, gdyż nie posiada duszy“ — utrzymywali fanatycy VI wieku. „Kobiety są sexus sequior pod każdym względem, rodzaj stojący niżej, drugi numer istoty ludzkiej. Swoją naturą skazane na uległość. Rozum ich nie jest wielki; puste, krótkowzroczne, przez całe życie są dziećmi“ — woła Schopenhauer. Obok tych głosów potępienia rozlegały się przyjazne dla niewiasty od najdawniejszych czasów. Jeszcze Platon wywiesił sztandar zupełnej równości natury kobiet i mężczyzn. Dewizą zaś rycerzy średniowiecznych było „służenie Bogu i białogłowie“. Henryk Agryppa w XVI wieku mówił: „Kobieta piękniejsza od mężczyzny, zdolniejsza od niego i wogóle lepiej obdarzona przez naturę“.

Mimowoli przychodzą mi na myśl te wszystkie głosy z przeszłości, gdy przedstawiam sobie

---

KAZIMIERZ TETMAJER.

Rzeźbiarz Merten.

(Kontur do noweli.)

(Dokończenie.)

Zdawało mu się, że coś wyje w nim z trwogi, kurczy się i zrywa, że coś krzepnie w nim i tężeje. Spojrzał na ręce i rzucił okiem w lustro. To za chwilę ma być trup! — wyszeptał. — Nie! Nie!...

A więc żyć?!... Żyć i dopuścić do tego, że rodzice wyciągnąć rękę będą musieli, błagając ludzi o litość, o miłosierdzie? Znieść tę hańbę, ich hańbę i swoją?!... I on także będzie musiał żebrać, bo i dla siebie niema na obiad i mieć nie będzie. Więc pójdą wszyscy troje pod kościół siąść, czy po ulicach się włóczyć?

Ogarnęła go rozpacz, bezgraniczna i wściekła. Giń! Giń! Giń! — wołało w nim coś. — Giń ty, co na życie zarobić nie umiesz. Giń niedołęgo, nędzarzu, wyrzutku! Podłego ba nie masz odwagi sobie roztrzaskać, ale będziesz miał odwagę patrzeć, jak twoich rodziców psami szczuć będą, będziesz miał odwagę patrzeć na ich łachmany, na ich głód, na ich śmierć z nędzy! Będziesz miał odwagę znieść ich skargi i wyrzuty i spojrzenia ludzkie! I co ty sam poczniesz?! Co ty jeść będziesz?!...

Dławiące, kurczowe łkanie porwało go za gardło: — Jezu, Jezu, Jezu! — szeptał — Jezu, pomóż mi umrzeć, pozwól mi umrzeć, bo widzisz, że nie mogę inaczej, nie mogę... I w tej chwili wierzył całą duszą, całem sercem, wierzył, jak dziecko, albo kobieta, tylko uczuciem, tylko uczuciem.

Ah! Gdybyż teraz wyciągnął ku niemu ręce Chrystus, ręce białe i jasne, i do siebie go wziął, do siebie przygarnął.

— Cudu! — jęknął.

Ale dokoła było cicho i martwo. Więc wówczas Merten rewolwer wziął i ponownie przytknął lufę do czoła. Chwilę stał, nie mając sił na pociągnięcie cyngla, zamgliły mu się oczy, zawirowało coś w głowie i padł na kanapę, puszczając rewolwer z dłoni.

Nie było to zemdlenie, ale niemoc taka, że powiek podjąć nie mógł, ani wargami poruszyć. Zdawało mu się, że krew zastygła w nim.

— Gdyby umrzeć — myślał — gdyby umrzeć...

Powoli niemoc ta śmiertelna w półsen jakiś przechodzić zaczęła. Śniło mu się niby, a niby wiedział, że mu się śni tylko, że leży w jakimś ogrodzie, pełnym róż i zieleni, na ścieżce, wysypanej złocącym się w słońcu, suchym, żółto-białym piaskiem. Zupełnie taka ścieżka, jaka była u nich na wsi, przed dworem. Nieco dalej rosły świerki i cień rzucały na trawę, szumiąc cicho i zadumanie. Leżał prawie na wznak, z głową tylko opartą na wyciągniętej ręce. Nie był martwy, a jednak nie czuł nic, ani światła, ani ciepła od słońca. Wiedział, że istnieje, ale zupełnie zamarły. W ogrodzie było dziwnie jasno i miło, jakiś zaczarowany świat. Chciałby był tak leżeć bez końca.

W tem na ścieżce pojawili się jego rodzice. Ojciec szedł, opierając się na lasce, niezwykle rzeźko i swobodnie, matka podpierała go z prawej strony, jak zawsze. Nie zmienili się nic, tylko matka była siwa, jak ojciec. Oboje szli z uśmiechem na twarzy, z jakąś radością wielką. Za niemi ujrzał Juliusz panienkę, w białej sukni, z polnemi konwaliami przy gorsie, tak piękną i wdzięczną, jakiej nawet nie marzył nigdy. Miała także uśmiech na twarzy i jakąś radość wielką w ciemnoszafirowych oczach. Rodzice stanęli nad nim i ojciec rzekł:

obraz dzisiejszej walki o kobietę i jej prawa, gdy szereguję w pamięci wszelkie „idee“, polemiki, tendencye powieściowe. Mamy i swoich Platonów, i Indyan, i Eurypidesów, i rycerzy średniowiecznych obok pochmurnych Szopenhauerów, a nawet fanatyków z VI wieku. Kwestya kobieca jeszcze nie przestaje być źródłem wytartych komunałów, pustych frazesów, haseł, wykrzykników, pomimo że powstała w tym zakresie poważna literatura. pomimo że na całym świecie cywilizowanym i u nas stała się znaczną częścią społecznych warunków bytu, tak samo, jak wogóle kwestya pracy. Nasi wstecznicy usiłują odegnać straszydło „feminizmu“ za pomocą kamyków z wyłomów ogniska domowego, które sami dla własnej wygody porobili w ukryciu przed „kapłankami“. Nie wiedzą, czy nie chcą wiedzieć o tem, że ruch feministyczny, to już nie straszydło teoretyczne, że zaznaczył on głęboko swoje ślady w życiu rzeczywistem, że wreszcie tego rodzaju „emancypacya“ nie jest to samo, co histeryczne porywy pewnej gromady kobiet, po za deklamacyą niezdolnych ani do pilnowania kojca domowego, ani do szerszej działalności na polu społeczno-ekonomicznem, o którem marzą, jako o wielkiem posłannictwie. „Feminizm“ prawdziwy — to chleb i prawo człowiecze. Szerzej pojęty nie wyklucza on ogniska domowego, przeciwnie — racyonalniej je traktuje i stara się nadać mocniejsze podstawy wychowaniu przyszłych pokoleń.

Na Zachodzie istnieją już dziś stowarzyszenia niewieście dla polepszenia bytu ekonomicznego kobiet, zapewnienia im skutecznej opieki prawa pod względem obyczajowym, lub w celu dania tylko sposobności zgromadzania się i niesienia sobie pomocy wzajemnej. Wreszcie są towarzystwa, dążące do reformy prawa o małżeństwie. Nie jest to wszakże ruch ściśle kobiecy, odrębny i prywatny. W ostatnich bowiem czasach już nawet izby prawodawcze niektórych krajów współdziałają w sprawie polepszenia losu kobiet. Tak np. nadzwyczaj jest doniosła reforma w prawodawstwie angielskiem, dokonana w r. 1870 i 1882 przez uchwalenie praw, dających kobiecie zamężnej legalną niezależność, czego dziś nie mają jeszcze ani Francya, ani Belgia i Szwajcarya. Wogóle rządy zaczęły zwracać uwagę na głosy kobiet i uwzględniać ich żądania. W Paryżu podczas wystawy powszechnej 1889 r. przyznano opiekę rządową „kongresowi“ prac i instytucyi kobiecych, a w Chicago r. 1894 powstał „pałac kobiet“ dla pomieszczenia wystawy wszelkiego rodzaju płodów pracy niewieściej, dzięki znacznej zapomodze rządu Stanów Zjednoczonych. Działalność „Federacyi wielkobrytańskiej i kontynentalnej“ tudzież wielu innych stowarzyszeń, wydała już sporo owoców pożytecznych, ale nie zdołała przełamać zbyt stwardniałego muru przesądów, nawet na Zachodzie.

„Prawa kobiety“ — to przedmiot najbardziej irytujący zesztywniałych zachowawców. Podsuwają oni zamiast prawa inny warunek społeczno-domowy: — obowiązek jak gdyby ten istniał jedynie dla kobiety. W gruncie rzeczy prawdziwy prąd dzisiejszego feminizmu bynajmniej niema na celu odrywania kobiety od jej naturalnego powołania. Chodzi tylko o wzmocnienie podstaw placówki w życiu domowem i ogólnem, a tem samem o uświadomienie w doniosłości zadań, które bez względu na ciężar, nie gniotłyby jej, jako „jarzmo koniecznej niewoli“. Tym sposobem nadanie pewnych praw może nie zaszkodzić lecz wzmocnić i rozszerzyć poczucie obowiązku.

Takiego mniej więcej zdania są właśnie rozumni i trzeźwi feminiści, a między nimi L. Bridel, profesor na wydziale prawnym w Genewie, wielki zwolennik uregulowania stanowiska kobiety w życiu domowem i społecznem za pomocą prawodawstwa. Jest to zwrot prądu „emancypacyi“ bardzo racyonalny i niezmiernie ważny, więc ze względu na jego przyszłą rolę warto mu trochę uwagi poświęcić, do czego właśnie daje nam sposobność najnowsza książka Bridela*). „Któż zdolniejszym jest do pracy użytecznej dla dobra innych — powiada autor — i kto lepiej może spełniać powinności swoje, czy niewolnik, pozbawiony swobody, czy człowiek wolny, będący w pełnem posiadaniu swych praw indywidualnych?“ Na to pytanie odpowiedziało już niejednokrotnie życie i w niezliczonych przykładach dowiodło, że tylko swoboda owych praw indywidualnych wydaje piękne owoce. Częstokroć wszakże ludzie nawet pełni uczuć i porywów humanitarnych nie chcą widzieć tej prawdy jedynie w zastosowaniu do kobiety i na obronę jej zależności przedewszystkiem wysuwają kwestyę pedagogiczną, która, jak to mieliśmy niedawno przykłady, ujawniła u nas silne żywioły wstecznicze. Tymczasem owa strona pedagogiczna jest głównym podkładem całej sprawy. „Jeżeli jedyną racyą bytu i celem kobiety jest mężczyzna — powiada Bridel — należy ją oczywiście wychowywać „ze względu na niego“ i tak właśnie czyniono dotychczas. Jeżeli przeciwnie, kobieta jest istotą ludzką w całem słowa tego znaczeniu, t. j. prawdziwą „osobą“, należy jej dać sposób do całkowitego rozwinięcia swojej indywidualności, co właśnie zaczynają robić teraz“.

Z tą kwestyą łączą się wszelkie inne, głównie na podkładzie ekonomicznym, o których mieliśmy sposobność już nieraz mówić, więc pomijając je, bierzemy kobietę wobec prawa po za małżeństwem i w jego ogniwach. Czy prawo opiekuje się dostatecznie młodem dziewczęciem wobec brutalnych zamysłów mężczyzny? Czy dziecko czternasto lub piętnastoletnie może pozostawać bez legalnej opieki pod tym względem? Prawo, opiekujące się z drobiazgową troskliwością interesami pieniężnymi małoletnich, czyż niema obowiązku czuwania nad dobrem o wiele cenniejszem? Zamach na obyczaje i uwodzicielstwo powinny być przedmiotem rozporządzeń prawnych, ożywionych innym duchem niż ten, pod którego wpływem powstały różne kodeksy (francuzki karny z r. 1810). Czy z punktu prawa cywilnego jest sprawiedliwe i normalne, ażeby następstwa stosunków płciowych po za małżeństwem ciężyły wyłącznie na kobiecie, gdy mężczyzna pozostaje najczęściej wolny od rzeczywistej odpowiedzialności? Na szereg tych pytań powinno we wszystkich państwach odpowiedzieć prawo, przystosowane do życia.

Niemniej domaga się reformy stanowisko prawne kobiety w małżeństwie. Ponieważ według ogólnego pojęcia rodzina jest „właściwem polem działalności kobiety, racyą jej bytu i celem życia“, zatem powinna przynajmniej w tej dziedzinie posiadać prawa, zabezpieczone legalnie. Przegląd prawodawstw europejskich wykazuje atoli wielkie braki w tej mierze i to najbardziej w krajach uważanych za liberalne. Następstwem legalnej podległości władzy męża jest zatarcie osobowości kobiety, a ztąd wynika między innemi niezdolność prawna do rozmaitych czynności życia cywilnego; usunięcie z pod jej rozporządzenia wniesionego przez nią majątku. Zarobek jej osobisty należy do męża, jak zarobek niewolnika — do pana. Wreszcie prawa matki poświęcone są prawom męża. Kobieta wogóle zamężna lub niezamężna nie może stawać w charakterze świadka przy spisywaniu testamentu, aktu ślubnego albo urodzenia. Niezdolna do sprawowania opieki nad małoletniemi, nie wolno jej być członkiem rady familijnej, z wyjątkiem gdy chodzi o własne dzieci. Kwestya praw cywilnych kobiety jest zatem pierwszorzędną.

Niegdyś w wielu krajach kobiety podlegały wogóle „opiece nad płcią“ (*tutelle du sexe*) pod względem swej osoby i majątku. Dziś już tego nie ma, ale za to faktycznie pod innemi względami podobna opieka istnieje w zmienionej formie. Według wielu prawodawstw kobieta, cywilnie zdolna przed zamężciem, staje się prawnie niezdolną od chwili wyjścia za mąż, t. j. mniej więcej znajduje się w takiem położeniu, jak małoletni, chorzy umysłowo tudzież osoby, mające kuratora lub dozór sądowy: nie mogą kupować, sprzedawać, czynić zobowiązań, odwoływać się do sądów i t. d.

W pewnych epokach i krajach, między innemi u żydów, świadectwo kobiety nie zasłu-

*) Świeżo przełożona przez Maryę Chojecką p. t. „Prawo kobiet i małżeństwo“, studyum krytyczne z zakresu prawodawstwa porównawczego. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1895.

— No, Julu, wstań, ona przyszła.

Dla czego nie wstawał, nie wiedział; było mu to zresztą zupełnie obojętne, jakby nie do niego ojciec mówił.

Potem odezwała się matka, ogromnie kochającym głosem:

— Wstań, syneczku, ona przyszła. Wymodliłam ją dla ciebie, wyprosiłam u Boga. Włosy mi osiwiały od modlitwy, od nocy na klęczkach spędzonych. Patrz, czy nie śliczna? Niesie ci szczęście, niesie ci wesele, niesie ci raj. Wstań dziecko najdroższe, ona czeka. Bóg nam ją dał, wynagrodzi nam wszystko złe. Podaj jej rękę, wstań.

Ale jemu było zupełnie obojętne to, co mówiła matka. Słyszał, ale nie czuł nic. Naówczas zasmuciły się twarze rodziców i zasmuciła się twarz panienki, co z niemi przyszła do ogrodu. I uklękła ona przy nim i podjęła mu głowę i patrzała nań dziwnie słodko swemi ciemno-szafirowemi oczyma, nie mówiąc nic — ale on leżał nieruchomy.

Wtedy ona położyła mu głowę na piasku, rodzice uklękli przy niej i wszystko troje płakać poczęli cicho i śmiertelnie smutno. On czuł ich łzy, spadające mu na czoło, na przymknięte na pół powieki, na usta. Ale kiedy ojciec jęknąwszy: — Jezu! — upadł mu na piersi, a matka, z rozdzierającym krzykiem w tył się osunęła, w ramiona klęczącego obok dziewczęcia, Juliusz wstrząsnął się cały i porwał z miejsca.

Ocknął się, siedząc na kanapie. Zimny pot spływał mu po czole, drżał cały, myśli zebrać nie mógł.

— Tak, ona przyjdzie, ona przyjdzie — szeptało mu coś w duszy — ale przyjdzie zapóźno... Wymodlisz ty ją matko u Boga, wyprosisz, ale po to, aby za trumną moją szła, po nic więcej...

Półsenne marzenie zdenerwowało go do reszty. Miał ochotę płakać, skarżyć się, czuł potrzebę wypowiedzenia komuś całej krzywdy swego życia, całej jego boleści... Gdyby ona teaz przyszła, niosąc mu to szczęście, ten raj... Gdyby mógł usiąść u jej nóg, głowę jej na kolana oprzeć i mówić, mówić, ażby wypowiedział wszystko, wszystko wyskarżył... A potem poszliby gdzieś w inny świat, w jakieś lasy szumiące, nad jakieś morza i jeziora senne, na góry zlote od słońca... Umiałby ją tak kochać, tak kochać, tęskni do niej tak serdecznie, on, któremu kochać nie wolno, on, dla którego miłość jest czemś zupełnie niedostępnem, który nie może znać innych kobiet, oprócz modelek i dziewek ulicznych.

Umiałby ją tak kochać, onaby go tak podniosła, tak wyszlachetniła, byłaby mu natchnieniem, zdrowiem, światłem, wszystkiem... I ona jest, jest, czeka na niego, tylko on jej pójść poszukać nie może, tylko on nie może po nią pójść, bo... niema za co!...

Pięści przycisnął do czoła i z głuchym jękiem szalonej rozpaczy i szalonej wściekłości rzucił się twarzą na oparcie szeslongu. W jakiemś spazmatycznem łkaniu leżał długo, a łzy grube i gorzkie spływały mu z oczu. Wreszcie dźwignął się, otarł twarz i wstał z szeslongu. Podszedł ku oknu: słońce zaszło już i mrok zapadał.

— Ostatni wieczór... — rzekł półgłosem.

Teraz myśl samobójstwa była już postanowioną: wszelkie refleksye odtrącił, trwogi się pozbył, żal względem rodziców przewalczył, żalu dla świata nie miał. Całą duszę swoją wyszlochał, całe życie swoje wylał w tych łzach, pierwszych od tylu lat i ostatnich na zawsze. Teraz nie było w nim już nic, tylko śmierć, chęć śmierci.

Swobodnym ruchem podjął upuszczony na ziemię rewolwer: mógłby sobie w tej chwili wpakować kulę w serce, ale może jeszcze, bez żalu pożegnać się z tem, co niegdyś kochał nad wszystko, z naturą i sztuką. Niegdyś, bo czas,

giwało na wiarę. Ztąd prawdopodobnie pochodzi późniejsze lekceważenie świadków w spódnicy, bardzo nielogiczne, bo w sprawach drobniejszych; gdy tymczasem świadectwo takie zupełnie jest wystarczające dla dowiedzenia zbrodni i skazania winowajcy na śmierć (tam, gdzie kara taka istnieje). Niektórzy obrońcy kodeksów posługują się rozumowaniem również niezbudowanem na podstawach logiki: kobieta może być świadkiem urodzenia i przed urzędnikiem stanu cywilnego stwierdzić datę, ale żeby świadczyć w akcie urodzenia, nadać mu pożądaną uroczystość — potrzeba mężczyzny. Co do testamentów i innych dowodów notaryalnych, pierwszy lepszy może spełnić powyższą formalność, gdy kobieta, przedstawiająca najlepsze rękojmie, nie ma w tym razie żadnego znaczenia.

Takie stosunki prawne panują we Francyi i innych krajach. Zresztą kodeks francuski sławny jest z wielu sprzeczności. Na nim się wzorował włoski, więc posiadał te same usterki. Dopiero r. 1877 poczyniono pożądane zmiany, które zniosły wszelkie rozporządzenia legalne, tamujące kobietom możność świadczenia we wszystkich aktach publicznych i prywatnych. Oczywiście tą drogą powinny pójść te wszystkie kodeksy, które stworzyły taką nierówność, niczem nieuzasadnioną a szkodliwą dla interesów ogólnych, bo nie ułatwia ona, lecz utrudnia redakcyę lub sprawdzanie wszelkich aktów publicznych i prywatnych.

Do powszechnego atoli uwzględnienia praw niewieścich w tej mierze bardzo jeszcze daleko. W większości państw europejskich kobieta niezamężna ma dziś pełną swobodę korzystania z praw cywilnych. Panna, wdowa lub rozwódka w zakresie zdolności prawnej stoi na równi z mężczyzną, z wyjątkiem gdy chodzi o opiekę lub świadczenie w aktach stanu cywilnego. Najbardziej zaś skrępowaną i upośledzoną jest mężatka, jako podlegająca władzy mężowskiej, rozciąganej nad osobą i majątkiem. Żona, związana „posłuszeństwem", pojętem w sposób nieograniczony, nie może bez zgody męża dopełniać żadnych aktów prawnych, dotyczących interesów ogólnych. W prawodawstwach europejskich tkwi zatem jeszcze dawna idea — o p i e k i n a d p ł c i ą, kruszącą najsilniejsze podstawy logiki. „Pan domu" korzysta z przywilejów średniowiecznych, chociażby był największym niegodziwcem i marnotrawcą. Przewaga ta występuje tem brutalniej, im jest niższy poziom umysłowy danej sfery. Prawo ochrania drapieżne instynkty mężczyzny, pielęgnuje potworne cechy jego charakteru, a towarzyszka pochyla głowę z rezygnacyą i skrycie żywi w swej duszy pierwiastki protestu, nieokreślone, niesformułowane, czasem rozpaczliwie wybuchające lawą uniesienia, prowadzącego do przestępstw kryminalnych. *Zenon Pietkiewicz.*

JERZY BRANDES.

DWÓR WIEJSKI

w Królestwie Polskiem.

(Listy z 1894 roku.)

(Ciąg dalszy.)

W rosyjskiej Polsce przeciwnie, prasa jest o tyle skrępowaną, iż niepodobnem jej było nawet ostrzedz młodzieży przed pozbawionemi racyi i sensu, a tak tragicznemi w swych skutkach demonstracyami, które się w ciągu ostatnich paru lat, szczególnie za namową kobiet wciąż powtarzały, bo najlżejsze wzmianki o owych demonstracyach były surowo wzbronione, a przecież odznacza się ona i stoi niezaprzeczenie wyżej od galicyjskiej.

Ogólnie znana żywość i oryginalność polskiego umysłu mają swoje siedlisko głównie tutaj — może z powodu, iż tutaj jedynie wyższe klasy społeczne mają materyalne środki, dające im możność używania życia nowoczesnego w całej pełni, ze wszystkiemi jego wymaganiami. Trudno o bogatszy kraj rolniczy, jak Polska pod rosyjskim zaborem, każda piędź ziemi jest tu urodzajną, a szlachta posiada znaczne fortuny. Dwa razy spotkałem się w tym kraju z ludźmi, co mają przeszło milion rocznego dochodu. Korzystają też tu ze swych pieniędzy, rozumieją zbytek i używają go. W każdym zamożnym domu uwija się niezliczona moc służby, dwory są tak obszerne, że zatrzymanie na nocleg kilku lub kilkunastu gości nie sprawia gospodarzom najmniejszej różnicy, a panie nie dość, że się ubierają strojnie i elegancko, ale mają taką ilość toalet, że dotąd żadnej z nich, nawet pań domowych, nie widziałem dwa razy w jednej i tej samej. Mają przytem zwyczaj przebierać się dwa lub trzy razy dziennie, tak że gdy jadą na czas jakiś do kogoś w odwiedziny, zabierają z sobą zapasy sukien i niezliczone bagaże jak Sarah Bernhardt. Każda z naszych pań, które przecież nie mają się tu przed kim stroić na codzień, ukazała mi się dotąd co najmniej w pięćdziesięciu sukniach i to jeszcze sądzę, że powiedziałem za mało, a gdy raz spytałem, ile ich posiadają na ogół, żadna mi na to na razie odpowiedzieć nie umiała. Co zabawniejsze jednak, to to, że i mężczyźni równie często zmieniają tu ubrania, każdy z nich ma ze dwadzieścia nowych, kompletnych garniturów w swoich szafach, nie licząc w to mnóstwa okryć, paletotów, ubiorów do konnej jazdy, polowania itd. itd. Pod tym względem żyją tu jak za Soplicowskich czasów. Żadnemu nie zaimponowałby z pewnością Casal Bourgeta swą szafą pełną obuwia, obliczoną na wywołanie podziwu i zazdrości dystyngowanych snobów pomiędzy czytelnikami książki, gdyż każdy z nich posiada ich nie mniej od niego.

Pomiędzy trzema częściami Polski, które tak wiele z sobą łączy, bo język, przeszłość i wspomnienia, dziś niema żadnej wspólnej akcyi politycznej; w żadnym wypadku, bez wyjątku, nie mogłyby one działać zgodnie. Nie posiadają teraz nic, coby je w jedną całość zlewało: praw, monet, marek, miar jednakowych. Niema ani jednego człowieka, któryby jako działacz polityczny cieszył się równem uznaniem w trzech częściach kraju, a nawet na polu literackiem właściwie jedno tylko nazwisko Sienkiewicza bezsprzecznie jest stawianem na wysokości. Autor ten uważanym jest jakby za perłę korony polskiej, pomimo, iż nie jest to bynajmniej umysł pierwszorzędny.

Nic się nie robi realnego w celu utrzymania jedności ducha w tych częściach rozerwanego kraju, idealiści jednak pracują jak mogą. Wśród starszego pokolenia znajduje się grupa patryotów, zacnych marzycieli, naiwnych i pełnych nadziei ludzi, co nieustannie krążąc wśród zabranych prowincyi, usiłują za pomocą rozmów, zebrań, przeróżnych w najniewinniejszym rodzaju postanowień, utrzymać ogień święty przy życiu; wielka wystawa polskiej sztuki i przemysłu we Lwowie jest właśnie wynikiem ich pracy i starań. Nie da się jednak zaprzeczyć, iż dużo, bardzo dużo wydatniejszych ludzi z młodego pokolenia, tak mężczyzn jak i kobiet utraciło już nadzieję co do życia narodowego w przyszłości, odzwyczaiło się od śledzenia za jaśniejszemi punktami na widnokręgu, biorąc je z góry za błędne ogniki i z tego powodu otwarcie ze sceptycyzmem, w duszy nawet z ukrytem lekceważeniem przygląda się działalności starszych zapaleńców.

V.

Większa część lata już przeszła i powoli wędrowne ptaki: autorowie, poeci i dziennikarze zaczynają zlatywać się na zimowe leże do miasta. Byle się pokazać w jakiej restauracyi w Warszawie, natychmiast uściski, powitania, pocałunki w oba policzki, a każdy ze spotkanych wita temi samemi słowami: „Ach, cóż za niepoczciwość, żeby to przyjechać tu wtedy, gdy żywej duszy nie ma w Warszawie". Nie zwlekając, otwierają się upusty mowy ludzkiej, i jak za poruszeniem laski czarnoksięzkiej człowiek, tak długo samotny, staje się w jednej chwili wtajemniczonym w przeróżne literackie stosunki, setki prywatnych zajść i przygód, dziesiątki politycznych intryg i powikłań i cały ten chaos kwestyi o honoraryach autorskich, wydawcach, rywalizacyi i t. d. i t. d. Jednocześnie na pół zatarte we wspomnieniach wyłaniają się postacie i wydarzenia, zapomniane prawie nazwiska wra-

---

kiedy chciał żyć, wydawał mu się taki dawny, taki dawny... Więc patrzył przez okno na księżyc, który wychodził powoli na niebo, wśród lekkich mgieł i chmurek, pełnych kolorów zmiennych i dziwnych prześwietleń. Patrzał na kilka bladych gwiazd, sennych w niezmiernem pustkowiu przestrzeni i na lśnienie księżyca na blaszanych dachach kościelnych. Szkoda, że ani drzew, ani gór, ani wody nie widać; ale już nie pójdzie za miasto, jest zanadto zmęczony, a zresztą... nie trzeba rozrywać nastroju. Czuł się w ekstazie jakiejś, w upojeniu gorączkowem myślą tak blizkiej śmierci. Nie bał się jej wcale, był, jakby zahypnotyzowany.

I długo, długo patrzył w niebo szeroko otwartemi oczyma i wdychał jego ciszę i spokój i czar jego wieczornej piękności; a potem zapalił gaz w pracowni.

Były tu gipsy, roboty w glinie zaczęte, zarysowane kartony. Jedną z zagadek swego niepowodzenia miał tu Merten rozwiązaną: Wszystko to było doskonale robione, ogromnie wykwintną i na wskroś artystyczną ręką, ale miało charakter albo chorobliwej jakiejś fantastyczności, albo przechodzącego wszelkie granice zmysłowego wyuzdania. „Gwałt" i „Lesbijska miłość" stały tu od roku, na wystawę bowiem przyjąć tych rzeźb, mimo wspaniałej roboty, nie chciano, nie można było po prostu. Obok przeznaczona na konkurs „Wizya", przedstawiająca nagą kobietę, wychodzącą z wodnego sitowia z nożem w ręku, z twarzą przerażoną i z wyrazem obłędu w oczach, w jasnem świetle gazowem sprawiała ogromne wrażenie, choć jeszcze nieskończona. Z góry jednak profesor, który zwiedzał niedawno pracownię, oświadczył mu, że wątpi, aby mimo całej wartości artystycznej, rzecz ta uzyskała jaką nagrodę, gdyż jest niezrozumiała i potrzebuje komentarza. Dla czego nie idzie dalej, tak jak dawniej w kierunku klasycznym, skoro już dwie nagrody swoją „Dyanną" i „Psychą" zdobył?... Zupełnie tak, jakby natchnienie szło w jakimś kierunku, jak żeby on wiedział, zkąd mu się ta wizya wzięła i dla czego właśnie taka, a nie inna...

Nad drzwiami, na ogromnym kartonie narysowana była grupa nimf i faunów, spłoszonych podczas uścisków miłosnych przez wodnego potwora, grupa tak kolosalna, tak potężna fantazyą i tak zmysłowo odczuta, że odurzała wprost, wywoływała jakiś zawrót głowy. Wyrzeźbione, byłoby to dzieło olbrzymie i nadzwyczajne. Merten długo wpatrywał się w swoje gipsy i szkice na kartonach, których było mnóstwo i z gorzkim uśmiechem powtórzył głośno, kładąc rękę na czole, jak niegdyś francuzki poeta, słowa Andrzeja Chenier, kiedy go wyprowadzono na szafot: Et pourtant j'avais quelque chose là!... Ale to już skończone, dodał pół szepcząc. Aby nie dopuścić do osłabnięcia naprężonej sztucznie i z wysiłkiem prężonej ciągle energii, której zachwianie uczuł nagle, przeszedł szybko z pracowni przez korytarz do wielkiej sali antyków. Zapalił wszystkie płomienie gazowe. W sali stało się jaskrawo od światła.

Ileż tu godzin spędził, zapatrzony w boskie kształty Afrodyty melijskiej i medycejskiej, bezgłowej Nike Apteros i Psychy z odwróconą twarzą, lubieżnej Afrodyty Kallipigos i Fidyaszowej nimfy, wiążącej w locie sandał; w bohaterski tors partenońskiego Tezeusza i Dyskobolów kolosalne muskuły, ileż godzin przemarzył tu, jakby w zaczarowanym śnie... Cała Grecya słoneczna, złocista i promienna, pogańska i zmysłowa, stawała mu tu w oczach, zaklęta czarodziejską siłą fantazyi. Słyszał szum mórz błękitnych i szmery szczytów oliwnych i pieśni rapsodów; z areny szedł na rynki miejskie, ze świątyń do gineceów, i do groty szedł na wyspie Melos, aby się tam zapatrzeć w bogini świętość zmysłową. Tu było jego wytchnienie, jego jedyna wyspa na ponurym

cają do pamięci i nagle niknie przestrzeń czasu, zdawałoby się, iż się dopiero rozstało z tymi ludźmi, a przecież to już siedem lat od owej chwili minęło.

Najświeższe, zajmujące wszystkich wydarzenie, to zaaresztowanie młodego lekarza.*) O godzinie czwartej z rana zjawiło się w jego mieszkaniu dwóch komisarzy policyi z podwładnymi i przedsięwzięto tak dokładną rewizyę, że nawet pocięto sukno na biurku, by się przekonać, czy nie ma pod niem ukrytych papierów. Zabrano wszystkie jego papiery i dokumenty i zawieziono go do cytadeli. Dwaj komisarze pozostali w jego mieszkaniu, gdzie został urządzonym rodzaj pułapki na tych wszystkich, co się w pierwszych dniach zgłaszali do owego lekarza. Pacyenci jego, przyjaciele i znajomi, wszyscy byli aresztowani i badani szczegółowo. Dotąd niewiadomo, z jakiego to się stało powodu, lecz przypuszczają, że zbierał on pieniądze dla studentów i młodych dziewcząt, zesłanych z powodu uczestniczenia w demonstracyi na pamiątkę powstania 1794 r. Rewizye takie odbywają się zwykle w nocy. Niejednokrotnie rzecz nie jest pozbawioną pewnego komizmu, szczególnie, gdy policya jest na mylnym tropie i nic znaleść nie może, tak jak to miało miejsce u znajomego mi autora Gawalewicza, u którego szukano jego rękopisów, by je porównać z rękopisem jakiegoś artykułu, wystosowanego przeciw Rosyi w jednej z krakowskich gazet, a który niewiadomo jakim sposobem wpadł w ręce policyi. G. leżał sobie spokojnie w łóżku, podczas gdy dom cały mu przetrząsano, a mały jego służący w kuchni był ściśle badany co do wszystkich gości, którzy u jego pana bywali. Od czasu do czasu wchodził doń komisarz policyi i prosił o papierosa, lub zjawiał się któryś z jego podwładnych, zapewniając, że może być spokojnym, gdyż rewizya dotąd nic podejrzanego nie wykazała; nareszcie bezowocne poszukiwania skończyły się tem, że żandarm wyprosił sobie u niego arkusz rękopisu, jak mówił „na pamiątkę". Tak, jak żeby ktoś tutaj mógł być o tyle nieostrożnym, by własnym charakterem pisane posyłać artykuły do Krakowa! W wyżej wzmiankowanym wypadku z młodym doktorem rzecz była jednak poważniejszą i nie poszła tak gładko. Rewizya rozciągnęła się też do mieszkającego naprzeciw studenta Stefana B. Po przetrząśnięciu wszystkiego, gdy pracowano u niego do godziny 8-mej z rana, zbliżył się doń żandarm, pytając: „Ale jakże panu ostatecznie na imię?" Wymienił je. „Stefan — powiadasz pan — nie, chyba Stanisław". „Powtarzam, że imię mi Stefan". „A! to przepraszamy bardzo, zaszła omyłka, bo rozkaz zrobienia rewizyi był na imię Stanisława".

*) Szmurło, — dotąd pozostaje w więzieniu. Przypisek tłom.

Naturalnie nie było to prawdą, lecz chodziło o pokrycie niezadowolenia i zawodu, że rewizya nie przyniosła pożądanych rezultatów.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

KRONIKA GALICYJSKA.

(Wybory z większej własności. — Hr. Badeni prezydentem ministrów. — Nowy marszałek ks. Sanguszko. — Śp. ks. arcybiskup Feliński. — Śp. Gustaw Ehrenberg. — Śp. Żegota Pauli.)

W dwóch moich artykułach o wyborach galicyjskich nie wyczerpałem o tyle przedmiotu, o ile po ich napisaniu odbyły się jeszcze wybory z większej własności, czyli krótko mówiąc: szlacheckie. Nie przyniosły one żadnych wielkich niespodzianek, bo że tam jakiś szlachcic upadł, a inny się wydostał na wierzch, to jest całkiem obojętne dla ogółu, a ważne tylko dla niego, jego żony (jeżeli jest żonaty), jego dzieci (jeżeli się cieszy tem błogosławieństwem Bożem), wreszcie jego krewnych, sąsiadów i przyjaciół (jeżeli ich posiada). Pomimo jednak, iż wybory szlacheckie najmniej budziły interesu, nie brak w nich było paru epizodów bądź co bądź ciekawych. Taki np. p. Albin Rajski (pisze się przez *y*, bo to według nieuków ma być dowodem starożytności rodu, a jest tylko starą ortografią) kandydując na posła oświadczył za pośrednictwem „najmłodszego" Fredry (Aleksander był „starym", Jan Aleksander „młodym" pomimo lat sześćdziesięciu kilku, a więc hr. Andrzej jest „najmłodszym"), że przestaje być demokratą i literatem, jakim był dotychczas, odrzeka się lewicy i wszystkich jej spraw, a będzie odtąd konserwatystą, za co też *bene nati et possesionati* głosami go swemi obdarzyli. Z kandydatów upadłych wśród włościan wyszli z wyborów szlacheckich: ks. Adam Sapieha, p. Józef Męciński, hr. Mieczysław Rej i dr. Franciszek Paszkowski. Pogrzebano natomiast bez wszelkiej ostentacyi hr. Jana Stadnickiego, p. Popowskiego, prof. Zolla, dr. Rutowskiego i Tadeusza Langego. Sam sobie pogrzeb sprawił pan Dembowski, zrzekając się kandydatury na rzecz księcia Adama Sapiehy. Z pewną ostentacyą, bo z mowami pogrzebowemi pochowano w krakowskim okręgu pana Władysława Struszkiewicza i zawodowego parlamentarzystę Leona Chrzanowskiego. Znamienną rzeczą jest, iż szlachta zaczyna naśladować chłopów, w skutek czego obok „ruchu ludowego" zaczynamy mieć i „ruch szlachecki". Przed laty 18-tu wyszło ze szlacheckich wyborów dziesięciu „inteligentników", przed laty 12-tu liczba ich spadła na ośmiu, przed laty 5-ciu jeszcze pięciu z nich uzyskało w tej kuryi mandaty, przy ostatnich wreszcie wyborach tylko dwóch się utrzymało, a i to z wielkim trudem.

Hasło: „szlachta dla szlachty" zaczyna więc odnosić tryumf zupełny. Dzięki temu hasłu, o mało nie upadł przy wyborach w okręgu krakowskim nawet dr. Michał Bobrzyński pomimo, że szlachta jest konserwatywna a naczelnik szkolnictwa galicyjskiego jest jedną z największych kolumn stronnictwa konserwatywnego. Ale bracia-szlachta zbuntowała się przeciw niemu, rozumiejąc: „przecież to nie nasz", „zkąd my przychodzimy" (język czysto galicyjski), aby nam narzucano inteligentów! I byłby dr. Bobrzyński tylko z galeryi przysłuchiwał się obradom sejmowym, gdyby mu nie przyszedł w sukurs hr. Kazimierz Badeni, który zagroził szlachcie, iż w razie nie wybrania dr. Bobrzyńskiego złoży swój krakowski mandat sejmowy. Strach przejął spiskowców i dr. Bobrzyński wyszedł zwycięzcą. Ale i tak niewiele brakowało, ażeby był przepadł, — w dniu wyścigów bowiem wyborczych na ośmiu biegających (a sześć tylko było nagród do rozdania) przybył dopiero piątym do mety, na długość zaledwie trzydziestu koni o. głosów przed p. Chrzanowskim, który pozostał „bez miejsca". Ten upadek p. Chrzanowskiego wart także podkreślenia w kronice wyborów. Kiedy go nie wybrano z miasta Krakowa „Czas" ubolewał nad upadkiem „tej jednej" z najcelniejszych sił sejmu, tego pracownika „w życiu parlamentarnem wszechstronnie wypróbowanego i doświadczonego", tego człowieka „żelaznej i niezużonej pracy", który piastował mandat „godnie, sumiennie i z wielkim pożytkiem". Upadek jego — wołał „Czas" dalej — jest smutną ilustracyą pewnych wpływów, stosunków i sprężyn. Zdawało się więc, iż konserwatyści za żadną cenę Chrzanowskiego nie poświęcą i wybiorą go manifestacyjnie, jednogłośnie w krakowskiej kuryi większej własności. Tymczasem ci, co wyborcom miejskim zarzucali lekceważenie zasług Chrzanowskiego, nie dali mu ostatecznej ilości głosów, a więc sami zasługi jego zlekceważyli. Dziś zatem każdy wyborca krakowski, który nie oddał głosu Chrzanowskiemu, może powiedzieć: „sami konserwatyści go nie chcieli, zkąd więc do nas pretensya, abyśmy go wybrali".

No, ale dość już będzie o wyborach. Bohaterem dnia był, jest jeszcze, a może i na dłuższy przeciąg czasu pozostanie, hr. Kazimierz Badeni. Jeżeli nie dostał bólu głowy i rozstroju nerwów po owacyach, jakiemi go żegnano, to to samo już dowodzi, że ma tęgą głowę i nerwy z kutego żelaza. Pomijając przedwstępne pożegnania, zmuszony był przez całe dwa dni od rana do późnego wieczora słuchać rozmaitych mów na cześć swoją i odpowiadać na nie na konieczny stereotypowy temat: „Jestem głęboko wdzięcznym, jestem głęboko wzruszonym, jestem niezasłużonym, ale szczęśliwym, jestem pewny waszego poparcia i życzliwości".

---

oceanie życia, tu, opierając głowę na zimnych, kamiennych posągach kobiet, z których już nawet prochu nie zostało, wskrzeszał je i rozmawiał z niemi marzącą wyobraźnią. Ileż godzin spędził tu samotny... I zdawało mu się, że te posągi dawnej, pogańskiej Grecyi, mniej są dziś martwe i zimne. Zgasił kilka płomieni gazowych: przybyło im więcej jeszcze życia. Zgasił więc wszystek gaz i tylko księżyc snuł przez wielkie okna srebrzysto modre, mgliste wstęgi światła.

Odezwał się gdzieś daleki zegar na wieży: uderzył 9 razy i przebrzmiał w echu. Zrobiło się jeszcze ciszej po tym głosie.

Oparty o tors neapolitańskiej Wenery, bez głowy i rąk, bez nóg od kolan, stał Merten, w prawej ręce trzymając rewolwer zabrany z pracowni, lewą obejmując przepyszne biodra bogini. Kallipigos i Dyskobol, z dyskiem w lewicy, rysowali się wyraźnie w świetlistem omgleniu księżyca; inne posągi bieliły się w mroczu, a ponad wszystkiemi wznosiła się melijska Wenera, nieskazitelna. Na odwróconą twarz Kallipigos i na jej ciało, padał najsilniej blask miesięczny i prawie żywą ją czynił.

Merten patrzał.

Jakieś pragnienie śmiertelnej rozkoszy ogarnęło go: nie wiedział prawie, gdzie jest i co się z nim dzieje, pragnął tylko czegoś zmysłowo - nadzmysłowego, niepojętego i zdawało mu się, że to się zbliża ku niemu... Między wskrzeszoną martwością tych posągów, a sobą, mającym umrzeć za chwilę, czuł jakąś łączność, jakiś tajemniczy, dziwny prąd przebiegający. Duszę w te posągi wlał i poprowadził je gdzieś w świat, pełen fal błękitnych i muzycznego rytmu... marzył...

Zegar miejski uderzył znów trzy razy: Juliusz ocknął się; za kwadrans przyjdzie stróż zamykać sale. Przypomniał sobie wszystko i spokojnie rzekł:

— Już czas.

Jedna chwila, a będzie tak martwym, tak nieczułym na ból i niedolę, jak te białe gipsy i marmury i jak te ciała, które im kształt swój dały... Życie? Ręką uczynił ruch, jakby coś chciał odepchnąć od siebie. Nie chciał żyć: wszystko, co go łączyło z życiem, zabrały z jego duszy te łzy gorzkie, których rzekę wypłakał. Już teraz mógł spokojnie umrzeć, pośród tych głuchych pomników jedynego świata, w który chciałby pójść, gdyby po śmierci miejsce duchowi wybrać było można. A zresztą cokolwiekbądź będzie, niech będzie...

W tej chwili na korytarzu rozległy się kroki, ktoś otworzył drzwi od sali i stanął w nich: Merten szybko przyłożył lufę rewolweru do serca.

— Merten! jesteś tu? — spytał przybyły — szukam cię wszędzie. Jesteś?

— To ty, Krążel? Jestem.

— A cóż ty tu robisz po ciemku? — pytał dalej Krążel, zbliżając się ku Juliuszowi.

— Ot co! — odparł tenże i pocisnął cyngiel.

Rozległ się strzał, a potem ogromny huk, bo upadając, pociągnął Juliusz tors Wenery, który obejmował ramieniem; tors runął z postumentu na ziemię, druzgocząc się na części i miażdżąc martwą już głowę młodego rzeźbiarza.

Krążel stanął, jakby piorunem rażony; zrazu nie mógł pojąć, co się stało.

— Merten! — zawołał.

Nie odpowiedział mu nikt.

Więc wtenczas Krążel postąpił krok naprzód i opierając się drżącą ręką na pustym postumencie strzaskanej neapolitańskiej Wenery, rzekł zdławionym głosem:

— Coś ty uczynił matce, Merten, coś ty uczynił matce...

1894.

KONIEC.

A musiał to wszystko mówić na stojąco, z przytomnością umysłu, z pamięcią o tem, aby komu należy podać rękę, komu należy ukłonić się. Musiał udawać, że wysoce ceni nadanie mu obywatelstwa honorowego miasta Lwowa, choć wiedział, że Lwów ostatni wybrał się z tem obywatelstwem, że zapomniał o niem, kiedy w zeszłym roku udzielał ten „honor“ innym osobistościom, że nie chciał tym zaszczytem obdarzyć ani hr. Badeniego, ani namiestnika hr. Badeniego, a obdarzył dopiero prezydenta ministrów, choć ten jeszcze jako taki żadnych zasług położyć nie mógł. Musiał też hr. Badeni udawać wiarę w wielką życzliwość dla siebie ks. Adama Sapiehy, żegnającego go w imieniu szlachty, choć wróble na dachu wiedzą, że „czerwony książe“ nie pałał nigdy gorącą miłością dla „białego“ namiestnika. To też zmęczony owacyami zastrzegł sobie hr. Badeni, aby Kraków dał mu spokój i nie męczył go wynurzaniem swych „uczuć z głębi serca płynących“, podczas zatrzymania się na dworcu krakowskim w przejeździe do Wiednia. To też tylko jeneralicya żegnała hr. Badeniego w Krakowie. A! prawda — żegnał go i pan Jan Rotter, nowo wybrany demokratyczny poseł sejmowy, który sam jeden z dyrektorów szkół krakowskich ukazał się na dworcu i to w uniformie służbowym.

Ludzie obdarzeni proroczym duchem twierdzą, że hr. Badeni da sobie radę w Wiedniu, oczyści i wygładzi zardzewiałe koła maszyny państwowej i przepędzi gdzie pieprz rośnie wszelkie skrajności opozycyjne — inni, również proroczym duchem owiani, przeczuwają, że hr. B. zrobi *fiasco* (na wyraz ten śp. Bliziński bardzo i słusznie się gniewał), dowodząc, że co innego być energicznym namiestnikiem, a co innego prowadzić nawę państwową przez odmęty antisemicko-liberalno-pangermańsko-słowiańsko-młodoczeskie. Którzy z proroków mają słuszność, dowiemy się niebawem. Jednego tylko możemy być pewni, a mianowicie, iż hr. Badeni nie będzie prezydentem malowanym. Energicznym był zawsze, czasem nawet za energicznym — jeszcze kiedy był starostą w Rzeszowie nazwał go w parlamencie hr. Stanisław Mieroszowski „baszą rzeszowskim“, a Lwowianie ochrzcili go „Mikadem“ — a więc na energii mu nie zbędzie. Jeżeli zdoła przeprowadzić co swoją „żelazną ręką“ to przeprowadzi, a jeżeli nie, to z lekkiem sercem opuści swe stanowisko. Co do Galicyi, ta może być spokojna, że swego pierworodztwa galicyjskiego nie sprzeda hr. Badeni za miskę soczewicy. O stanowisko prezydenta ministrów się nie ubiegał — objęcie jego uważa, jak się sam wyraził i czemu wierzyć można, za „bolesną i pod wszystkiemi względami prawdziwie ciężką chwilę“. Można się nie zgadzać z jego działalnością jako namiestnika, można czynić mu zarzuty, ale nikt, kto umie wznieść się na wyżyny bezstronności, nie zaprzeczy, iż hr. Badeni chciał działać i działał w swem rozumieniu dla dobra kraju. Można inaczej to dobro pojmować, ale jest to już rzecz politycznych zapatrywań, a kto w polityce błądzi, kto zaś idzie właściwą drogą, to rzecz dyskusyi, a ocena należeć będzie do historyi, która będzie miała przed sobą już owoce błędów czy też właściwego dobra kraju zrozumienia. Czy tak czy owak, pozostanie zawsze szczerość zamiarów, której odmówić hr. Badeniemu niepodobna. I ta szczerość zamiarów będzie zapewne jego przewodnikiem i na nowem stanowisku. Nie przestanie on być obywatelem swego kraju, choćby go w najbardziej austryacką skórę zaszyto. Jego poprzednicy galicyjscy na fotelach ministeryalnych, z małym wyjątkiem umieli bardzo delikatnie rozróżniać w sobie dwie istoty, dwa patryotyzmy: polski i austryacki. Każdy prawie z nich, jeżeli nie mówił to czynami swojemi dawał do zrozumienia: „nie zapominajcie, panowie, że ja swoją polskość zawiesiłem tymczasowo na kołku, że nie jestem w tej chwili niczem więcej, jak tylko ministrem austryackim“. Każdy z nich formalnie się bał, aby go nie posądzono o sprzyjanie ideałom narodowym, a choćby o jakąś specyalną miłość dla Galicyi. To też każdą rzecz, która Galicyą żywo dotykała, odkładali na później, albo przeprowadzali lękliwie, z niesłychaną ostrożnością, aby nikt im nie zarzucił, że kierują się sympatyami dla Galicyi. Od Niemca Gautscha udało się nam wprawdzie nie bardzo wiele, ale zawsze dość sporo uzyskać na cele oświaty, od rodaka Madejskiego nic prawie się nie uzyskało. Za Gautscha, który na nowo dziś rządzi losami oświaty austryackiej, zapewne da się z czasem uzyskać przejęcie gimnazyum cieszyńskiego na koszt rządu, za Madejskiego, gdyby jeszcze panował, wątpię czyby Koło polskie odważyło się żądać tego obciążenia budżetu. Słowa: „nie trzeba rodakowi utrudniać stanowiska“ podkładano stale pod muzykę dla katarynki delegacyi polskiej. A wszystkie te objawy pochodziły z tego, iż każdy prawie z panów ministrów galicyjskiego chowu i rodu, za główny swój ideał uważał niewypuszczanie z rąk swoich teki ministeryalnej, bo ona jedynie dawała mu stanowisko wybitne i dość przyzwoite dochody. Hr. Badeni ma tę nad nimi wyższość, że o stanowisko się nie starał, a do pensyi ministeryalnej będzie musiał dokładać. Ta niezależność stanowi już jego siłę, a temperament jego, usposobienie, jeszcze ją podwajają. To też jest wszelka nadzieja, że nie będzie on w sobie *rozróżniał* dwóch istot, dwóch patryotyzmów, ale będzie je *godził* ze sobą. Nie zapomni zapewne nigdy, że jest prezydentem ministrów austryackich, ale będzie pamiętał jednocześnie, że stanowisko to bądź co bądź jest czasowe, że w Wiedniu stoi na chwiejnym pokładzie okrętowym, a w Galicyi stał silnie na ziemi. Jak tylko nominacya jego była już rzeczą pewną, wszystkie prawie dzienniki wiedeńskie usiłowały wmówić, że nie przyjdzie do steru rządu Polak Badeni, lecz Austryak Badeni. I byli tacy, co się u nas cieszyli, że Niemcy Badeniego „nie podejrzywają“. Dla karyerowiczów taka opinia była zawsze bardzo wygodną, ale hr. Badeni nie należy do tego rodzaju wygodnisiów. Nietylko więc nie skorzystał z łaskawie mu podsuwanej wyłączności austryackiej, ale zaznaczył wyraźnie przy pożegnaniu swoją łączność z krajem i własną przeszłością. Na słowa pożegnania ze strony wydziału krajowego zapewnił: „obowiązki moje względem kraju pozostają też same niewzruszenie“, wyborcom krakowskim wyraźnie powiedział, że „łączność z krajem i współobywatelami utrzyma“, a w odpowiedzi na słowa ks. Sapiehy wyrzekł do szlachty: „czuć mnie zawsze między sobą będziecie...“

Następcą hr. Badeniego na stanowisko namiestnika został ks. Eustachy Sanguszko. Gdyby mu przed paru laty powiedziano, że zostanie prezesem akademii umiejętności, niemniej by się zapewne zdziwił, jak się musiał zdziwić, kiedy zażądano od niego objęcia urzędu namiestnika. Ani mu się śniło nigdy o takiej godności i o takim zaszczycie. Nigdy nie był urzędnikiem, nie posiada fachowej wiedzy administracyjnej, nie czuje najmniejszego pociągu do wertowania patentów i ustaw, formalistyka go nudzi, cały podległy namiestnikowi aparat policyjny zapewne go razi i niemile drażni, do rządów nigdy się nie rwał, do rozkazów z Wiednia nie był przyzwyczajony, za energicznego nikt go nie miał i on sam siebie za takiego nie uważa — a tu mu powiedzieli: „zostań, książe, namiestnikiem!“ Wyobrażam sobie, jak się musiał żegnać, wymawiać, prosić, aby mu tej przykrości nie wyrządzano. Ale musiały być racye wyższej polityki, kiedy się nareszcie zdecydował położyć na tem madejowem dla siebie łożu.

Swoją drogą zapewne Galicya nic nie straci na namiestnictwie ks. Sanguszki. Wprawdzie będzie ktoś tam inny za niego rządził, ale charakter i uczciwość księcia są rękojmią, że niekorzystnie dla kraju rządzić nie zezwoli, że nie dopuści do nadużycia władzy, że będzie strzegł swobód konstytucyjnych. Bo lubo nie należę do wielbicieli naszych jaśnie wielmożnych i jaśnie oświeconych panów, to przecież ks. Sanguszkę muszę zaliczyć do tej garstki, którą się zawsze w myśli wyłącza, kiedy się mówi ogólnikowo a ujemnie o naszej magnateryi. Ród Sanguszków był zawsze zacny i uczciwy, jaśniał cnotami obywatelskiemi. Książę Eustachy jest synem ks. Romana, którego pędzono piechotą w kajdanach na Sybir i który też w martyrologii polskiej ma piękną kartę. Takie nazwisko nosić w spuściźnie, i to nosić godnie, nie jest rzeczą zbyt łatwą. A ks. Eustachy godnie je nosi. Gdyby miał więcej energii i samorzutności, byłby zapewne silniej zamarkował swoje przymioty. Ale cichy, spokojny, poprzestawał zawsze na wypełnianiu włożonych na niego obowiązków, a ludzie tego rodzaju zbyt wielkim rozgłosem się nie cieszą. W roku zeszłym ożenił się książę Eustachy z Zamojską, a więc także z córką rodu, który pozostał bez skazy w tych czasach, kiedy na tarczy wielu najznakomitszych rodów plamy się ukazywały.

Wybory, hr. Badeni, nowy namiestnik — oto co nas zajmowało głównie w przeciągu ostatniego miesiąca i co się odbiło w dzisiejszej kronice mojej galicyjskiej. A kiedy jedni wyrastali, drudzy jak dojrzałe kłosy kładli się do grobu. Nie będę, rzecz prosta, rozpisywał się na tem miejscu o zasługach i znaczeniu ś. p. ks. Zygmunta Felińskiego, b. arcybiskupa warszawskiego, ale nie godziłoby się w kronice galicyjskiej nie zaznaczyć, iż oddaliśmy należny hołd jego pamięci. To jest, właściwie powiedziawszy, hołd ten powinien być większy, ale i tak na nasze stosunki wypadł on dość okazale. Duchowieństwo zrobiło, co do niego należało — sześć infuł biskupich postępowało przed trumną. Lwów przysłał deputacyę. Kraków uchwalił pokryć z funduszów gminy koszta pogrzebu, ale biskup ks. Puzyna nie pozwolił siebie zastąpić „w obowiązku“. Rzucono projekt pochowania zmarłego w grobie zasłużonych, ale projekt ten upadł, gdyż życzeniem zmarłego było być pochowanym w Dźwiniaczce, gdzie ostatnie lata przepędził. Projekt to zresztą był surowy pod wpływem chwili, bez dostatecznego namysłu — w grobie zasłużonych bowiem spoczywają tylko ludzie pióra, a ks. Feliński, lubo także niwę literacką uprawiał, i to nie bez talentu, zasługi swoje właściwe położył na innem, szerszem, bo ogólnonarodowem polu. O zasługach tych mówić będzie między innemi i tablica pamiątkowa na pomniku, który gmina miasta Krakowa uchwaliła zmarłemu wystawić.

Zeszedł też w krainę śmierci Gustaw Ehrenberg, wiele obiecujący niegdyś poeta, autor tak popularnych pieśni jak: „Hej tam w karczmie za stołem“ lub tej, w której się powtarza zwrotka: „O, cześć wam, panowie magnaci, za naszą niewolę, kajdany“. Zapał poetyczny ostudził Ehrenbergowi długoletni pobyt na Sybirze. Nie ostygł jednak zupełnie, bo dalej tworzył oryginalnie, lub tłomaczył arcydzieła. Poprzestaję na tej wzmiance, bo nie do korespondencyi należy podawanie życiorysów literackich.

A w chwili, kiedy to piszę, znów żałobne chorągwie powiewają z gmachów naukowych. Umarł Żegota Pauli, jeden z ludzi, który w Krakowie najwięcej umiał i który na polu naukowem położył niemałe zasługi, a więc zapewne dla tego nie był członkiem Akademii Umiejętności. Była to postać ze wszech miar oryginalna, ostatni może z zaginionego typu dawnych zbieraczy i badaczy naukowych. Postaram się osobno skreślić jego sylwetkę.

K. Bartoszewicz.

KRONIKA BERLINSKA.

Berlin, d. 20-go października.

(Profesor i student niemiecki dawniej a dziś. — Nowe prądy, dzieło prof. Zieglera. — Mowa rektorska prof. Ad. Wagnera. — Socyalizm z katedry a kurs naukowy stow. dla polityki socyalnej.)

Do figur na wpół humorystycznych, na wpół smutnych, należeli do niedawna w Niemczech profesor uniwersytecki i student "bursz". Okraszają oni każdy numer „Fliegende Blätter“ i dostarczają tematu do najdowcipniejszych anegdot. Więc stary profesor musi z reguły mieć włos długi, rozwiany, figurę niepoczesną, wzrok zatumaniony; spogląda w niebo i pada w błoto, a i tam nawet nie widzi jeszcze, gdzie się znajduje: roztargnienie, nieznajomość gruntu

realnego życia, utonięcie w morzu abstrakcyi i nieporadność w sprawach praktycznych — mają to być znamiona od postaci profesora nieodłączne. Każdy z nich jest żywcem pogrzebany pod piramidami martwych liter, bez ducha i krwi, i pod pantoflem magnifiki; każdy chce w swoich słuchaczy przelać letnią wodę swoich teoryi, gdy im w głowie zupełnie co innego. Oni piją z reguły nie wodę, lecz piwo, i to takiemi masami, że zatłuszcza im ono mózg i serce, obciąża trzewia, a nogi wprawia w stan ciągłej niepewności. Między jednym aktem uroczystego upijania się a drugim, gra się w karty, a przedewszystkiem masakruje się kolegów na „mensurach". Każdy jest więc „na gębie" porządnie pokiereszowany, a im bardziej jest utatuowany, im więcej ma „szmisów", tem wyższy obudza szacunek kolegów i podziw jasnowłosych „Gretchen". Wszystko to zaś odbywa się wśród bezustannego biesiadowania, komersy są bez przerwy na porządku dziennym i nocnym. Z prawdziwie niemiecką dyscypliną ujęto nawet te zabawy w rygor; piwo żłopią podług ustalonego ceremoniału, tylko na komendę zaczynają gremialnie „einen Salamander reiben", życie odosobnione prowadzi każdy, dopiero kiedy bez życia spity pada na ulicy. Wówczas zjawia się dobroczynny „polip" i bursza zanosi do domu, czasami zaś, w razie wielkiego „spektaklu", wędruje potem do „karceru".

Takie i tym podobne obrazki z życia uczących się Niemców są dotąd bardzo jeszcze rozpowszechnione i niemało przyczyniają się do zapoznania właściwego usposobienia synów Germanii. Jest w nich bez wątpienia dużo prawdy, profesorowie duszą i ciałem oddani swojej umiejętności, studenci, których jedyną strawą umysłową jest knajpowanie, a jedyną bronią duchową rapir, nie należą do rzadkości, ale panującym typem dawno już oni być przestali. Byli nim może po roku 1848, kiedy reakcya zapanowała w całych Niemczech, a naród po wysiłkach idealistycznych, po udaremnionych porywach, w martwej wiedzy lub w bezmyślnem rozpasaniu szukał zapomnienia. Są nim potrosze w małych uniwersytetach, gdzie uczony żyje zdala od świata, a młody chłopak pragnie się wyszumieć wśród wesołej drużyny. Ale burszenszafty są równocześnie szkołą romantycznej przyjaźni, dyscypliny, hartu i odwagi, a przedewszystkiem najbardziej rozpasanego szowinizmu narodowego. One to wpajają w młodego Niemca nienawiść do innych narodowości i wyznań, one wywierają wpływ na całe jego życie. I gdy po kilku semestrach pożycia w tych warunkach każdy z prawdziwie niemiecką wytrwałością zabiera się do pracy — idzie potem w świat, jako skończony, od stóp do głów, Prusak.

Od lat kilku występuje w świecie nauczających i uczących się Niemiec nowy zwrot, który teraz z nieprzepartą siłą łamie wszystkie tradycye i szał szowinizmu narodowego zaczyna rozpraszać, inny nadając mu kierunek i ton inny. Socyalizm, który jest obecnie osią życia niemieckiego, wywarł i na te sfery wpływ potężny. Jeszcze w r. 1870 zorganizowali prof. Adolf Wagner i Schmoller „socyalizm z katedry", który zwalczał i w Niemczech zupełnie zwalczył liberalizm ekonomiczny w teoryi i praktyce, i był jednym z czynników, które skłoniły państwo do podjęcia ustawodawstwa socyalnego. Kierunek ten, do niedawna zamknięty w gronie profesorów, obecnie zaczyna oddziaływać i na studentów; profesorowie zaczynają zwracać się do nich coraz częściej z katedry z wykładami nie o teoryi, lecz o aktualnej polityce socyalnej, a i poza katedrą organizują lub protegują kółka dla samouctwa w tym kierunku.

Rząd pruski zakazuje je na całej linii, ale prąd czasu jest, od niego silniejszy, zmusza każdego do studyowania kwestyi, socyalnej i wyrobienia sobie sądu, a uczących, dbałych o rozwój młodzieży na punkcie obecnie najważniejszym, zmusza do przyświecania jej radą i czynem.

Nowy ten kierunek reprezentuje także profesor uniwersytetu w Strassburgu dr. Teobald Ziegler, który przez kilka semestrów czytał, a teraz ogłosił drukiem rzecz o charakterze studenta niemieckiego. („Der deutsche Student am Ende des XIX. Jahrhunderts. Stuttgart".) Jest to głos doniosły, świeży i jędrny, jaki rzadko się z katedry rozlega, głos uczonego, ale i człowieka; mówi z otwartością lekarza, z troską o przyszłość obywatela. Prof. Ziegler jest jednym z teoretyków, najzawzięciej zwalczających socyalizm, lecz nie może oczu zamykać na współczesny stan umysłów. Wchodzi w najgorętsze wiry czasu, wskazuje na przejściowy charakter naszej epoki, na konflikty między religią a wiedzą, między socyalizmem a indywidualizmem, między dążeniami do zachowania i do przewrotu panującego ustroju. Na tem tle maluje bursza niemieckiego, stawia mu przed oczy zwierciadło, wchodzi we wszystkie, przez hypokryzyę troskliwie ukrywane strony życia, wystawia mu świadectwo wogóle bardzo a bardzo niepochlebne. Nareszcie wskazuje mu nowe pole, nowe zadanie. Student nie powinien uprawiać praktycznej polityki, ale powinien ją poznać; powinien korzystać ze złotego przywileju młodości, aby marzyć, badać, zmieniać się i nie związany z ciasnym interesem chwili, dążyć do wyzwolenia swojej indywidualności.

Radzi mu chodzić na zgromadzenia polityczne, studyować pisma, a przedewszystkiem życie; obcować z robotnikiem, bywać w jego stowarzyszeniach, wykładać mu swoje teorye w sposób, który w Anglii prowadził do „ruchomych uniwersytetów", i tak przebyć „kurs dla praktyki społecznej". Oczywiście nie wszystko, co strassburski profesor daje, jest nam sympatyczne, ale jakżeż odbija ono od metody ludzi, którzy za największego polityka uważają strusia, a za prawdziwie błogosławionych — tylko ubogich w duchu. — Z Goethem jest zdania, że umysł rozwija się w zaciszu, a charakter tylko w walce życia, więc kierunek wskazuje najogólniej, a każe w własnej głowie szukać, o własnej sile, bez żadnych pasków rwać się naprzód.

Kierunek ten, jak każdy świeży zwrot, ma naturalnie wrogów; i w Niemczech są zwolennicy polityki strusiej, i tutaj chcą nieświadomość zaliczać do cnót. Pamiętnem jest posiedzenie parlamentu z pierwszych dni stycznia br., na którem „król żelaza" baron Stumm wylał swoją żółć na profesorów ekonomii, uważając ich za propagatorów socyalizmu. Z całym impetem samowładnego króleviątka uderzył na tych, którzy w gruncie rzeczy wedle sił starają się zwalczać skrajności; w konsekwencyi doszedł do westchnień nad rozpowszechnioną zanadto wolnością nauki. — Najwięcej dotknęci wówczas prof. uniwersytetu tutejszego Wagner i Schmoller ostro na to odpowiedzieli, za co pierwszy został wezwany do bronienia swoich idei szablą w pojedynku. Krzyk oburzenia był odpowiedzią rycerskiemu baronowi; — studenci wyprawili swoim profesorom gorące owacye, — idee ich święciły tryumf. Obecnie tryumf ten doszedł do zenitu; — protestując przeciw zamachom na wolność nauki, uniwersytet berliński obrał Wagnera rektorem.

Była to pośrednio demonstracya przeciw rządowi, to też przy inauguracyi roku uniwersyteckiego, odbytej onegdaj z całym sztywnym pruskim ceremoniałem, nie było — wbrew dotychczasowym tradycyom — żadnego reprezentanta rządowego. Uwaga publiczności była w najwyższym stopniu naprężona, a nowy rektor wygłosił mowę o rozwoju ekonomii politycznej i jej stanowisku do socyalizmu. Imię i kierunek Wagnera, stojącego na czele socyalizmu państwowego, są dostatecznie znane; obecnie rozległy się podobne idee po raz pierwszy z trybuny rektorskiej, z miejsca, królującego nad pierwszą w państwie instytucyą naukową. „Tak jest — cytuję mówcę dosłownie — nowsza nauka ekonomii dużo się od socyalizmu nauczyła. Ale pozostaje ona z nim w zupełnej sprzeczności we wszystkich głównych punktach, w metodzie badania, w rezultatach tych badań, w nomenklaturze, etyce i podstawie swej filozoficznej. Że między studentami jest dużo socyalistów, to nie powinno zadziwiać przy łatwej zapalności młodzieży. Socyalizm jest czemś więcej, niż programem partyjnym. Jest filozoficznym poglądem na świat, z którego socyalna demokracya praktyczne wyciąga konsekwencye. Od wpływu tego kierunku nie powstrzyma się młodzieży sekaturami i małostkowemi „środkami ochronnemi" podług wzorów z lat pięćdziesiątych, ani też tendencyjnie pisanemi książkami. Objektywne, wolne od przesądów zagłębianie się w nauce ekonomicznej — to tylko potrafi sprowadzić z drogi fałszywego socyalizmu". Fałszywego — oczywiście w stosunku do jedynie zbawiennego, państwowego, który mówca propaguje. Ale ten poczuwa się na każdym kroku „do obowiązku wdzięcznego uznania, które umiejętność dłużną jest wielkim myślicielom: Rodbertusowi, Lassalowi i Marxowi, z których naród niemiecki może być dumnym". A jeżeli oni błądzili, jest szukanie prawdy rzeczą innych ludzi nauki, nie zaś policyi...

W tym duchu przemawia magnificencya dalej, a wśród blisko pięciu tysięcy słuchaczy, uczęszczających na tutejszą wszechnicę, słowa jego budzą echo i zapał.

Innych manifestacyi nowych kierunków byłem świadkiem, uczęszczając na ukończony przed kilku dniami kurs naukowy, urządzony przez „Verein für Sozialpolitik". — Stowarzyszenie to jest organizacyą socyalizmu z katedry, o którym pisałem wyżej i który w Niemczech prawie wszystkie bez wyjątku kadedry ekonomii opanował. Należy do niego mnóstwo uczonych i praktycznych polityków, stojących pośrodku między ekstremami manczesteryzmu i socyalizmu. Ze zadania swego, popularyzowania wyników nowszych badań socyalno-ekonomicznych, stowarzyszenie wywiązało się, urządzając podczas feryi wykłady kilkunastu przedmiotów, do których zaprosiło najwybitniejsze siły uniwersyteckie z Niemiec i profesora Filipowicza z Wiednia. Wchodząc przed kilku dniami do „collegium maximum" wszechnicy, miałem wrażenie, iż się znajduję na kongresie socyalnej demokracyi we Wrocławiu. Na ścianach wielkie portrety Marxa, Lassala i Engelsa, we wszystkich rękach „Vorwärts" i rozmaite broszury agitacyjne. To był wykład o socyalnej demokracyi. Największa sala była nabitą, mimo, iż opłaty były wcale wysokie; różnorodność i zachowanie się publiczności były dla psychologa niewyczerpaną skarbnicą spostrzeżeń nad wyobrażeniami „wyższych dziesięciu tysięcy" o grożącem im niebezpieczeństwie socyalnem. Damy z najwyższej arystokracyi, wyżsi oficerowie, urzędnicy, mnóstwo młodzieży, a nierzadko i robotnik — wszystko to pochłaniało po 6 godzin dziennie ataki profesorów, bez wyjątku zgodnych w tem, iż sfera własności prywatnej powinnna być ograniczona, tudzież, że sprawy socyalnej nie rozwiąże się ustawami wyjątkowemi, a socyalnej demokracyi nie zjedna się pogardą lub ignorancyą. Dla wielu obecnych były te idee nowością. Patrząc na portrety wymienionych przywódców partyi przewrotu, siedząca obok mnie dama zrobiła spostrzeżenie, że ci panowie wyglądają przecie wcale przyzwoicie. Wsłuchując się w dyplomatyczne, wyrafinowane zwroty głośnego Schmollera, były zadowolone wskutek jego zapewnienia, że nierówność między ludźmi jest bodźcem postępu i emulacyi i nigdy nie zniknie. Ogniste też rozlegały się oklaski, gdy Adolf Wagner z wymową prawie demagogiczną gromił nadużycia kapitału i propagował upaństwowienie fabryk, środków komunikacyjnych, gruntów miejskich; dumą napełniały wszystkich słowa Schmollera, iż mimo wszystkich walk i szkód, naród niemiecki może się szczycić tem, iż wielki ruch kulturny — socyalny, — w jego łonie pierwsze swe znajdzie rozwiązanie, tak, jak rozwiązanie swe znalazła w tym narodzie kwestya reformacyi religijnej.

Siedzący obok mnie Herman Suderman, miał w tej chwili na ustach delikatny, ironiczny uśmiech...

Zastępca.

Z prośbą o umieszczenie otrzymujemy odezwę następującą:

Odezwa.

System zbierania składek na cele narodowe poruszony w nr. 241 „Wielkopolanina",

pragnie komitet Tow. Ochrony pracy kobiet zaprowadzić w całym zaborze pruskim i jak najspieszniej takowy w czyn zamienić. Sposób ten nie narzuca nikomu nowych składek, wiemy bowiem z doświadczenia, że jest ich aż nadto wiele, przeciwnie nawet, jeżeli całe społeczeństwo poprze nasze usiłowania, uwolni się z czasem od nieustannego kołatania o nowe zapomogi. Pragniemy bowiem tym sposobem zapewnić stałe źródło dochodów dla naszych instytucyi, a nie narażamy nikogo na wyrzucanie pieniędzy. Każdy z nas rozsełа do roku znaczną ilość telegramów z okazyi zaręczeń i zaślubin swych znajomych itd.

Celem naszym i gorącem pragnieniem, ażeby pieniądze, które bogaciły dotychczas pocztę, wpływały odtąd do naszych instytucyi narodowych. Wysyłanie depesz gratulacyjnych kosztuje w mieście 50 fen., (?) na wsiach daleko więcej: postanowiłyśmy zatem zastąpić takowe kartami zamkniętemi z polskim emblematem w cenie 25 fen., a dochód ze sprzedanych kart pójdzie na cele dobroczynne. Tym sposobem poczta zarobi tylko 10 fen., a każdy z nas będzie miał rzecz tę o połowę taniej.

W Czechach i Galicyi system ten już dawno zaprowadzony, zasięgłyśmy ztamtąd informacyi i udowodniono nam, że setki się tym sposobem zaoszczędzają. Ażeby każdy karty te z łatwością mógł nabyć, porozsełamy takowe po wszystkich większych i mniejszych miastach do tamtejszych księgarzy, i kupców, i osób prywatnych, a mamy nadzieję, że panowie ci nie odmówią nam tej przysługi i zajmą się bezinteresownie rozprzedawaniem tychże. Ponieważ karty te kupują zarówno kobiety jak i mężczyźni, ażeby więc obie strony miały równe korzyści z dochodów, postanowiłyśmy połowę osiągniętych pieniędzy przeznaczyć na fundusz Kościuszki, drugą połowę na Ochronę pracy kobiet w Poznaniu.

Tym sposobem przyczynimy się do kształcenia młodzieży i dopomożemy niejednej biednej kobiecie, uchronimy ją przed wyzyskiem ze strony żydów, a często uratujemy ją od nędzy.

Mamy nadzieję, że obydwa cele są zarówno sympatyczne i pożyteczne i że całe nasze społeczeństwo przychyli się do naszej prośby i odtąd będzie sobie miało za święty obowiązek, zamiast bogacić Niemców, kupować nasze karty i zasilać fundusze narodowe. Z całem zaufaniem liczymy na pomoc wszystkich bez wyjątku *Polek i Polaków*, że nie przyjmą naszej odezwy z obojętnością lub niedowierzaniem, lecz zajmą się gorliwie, ażeby ideę tę rozszerzyć w całym zaborze pruskim, że wobec coraz groźniejszego położenia naszego *narodowego i ekonomicznego* staną poniekąd na straży naszych instytucyi narodowych, dopilnują szczerze, ażeby żaden grosz *polski* nie poszedł w obce ręce i zainteresują sprawą tą całe nasze społeczeństwo. Każdy, kto nam dopomoże w naszej pracy, będzie miał wielką zasługę wobec funduszów narodowych.

Prosimy tych panów i panie, które chcą nam dopomódz w przeprowadzeniu naszej pracy i łaskawie karty rozsprzedawać, o nadesłanie swych adresów do redakcyi „Wielkopolanina“, Poznań, W. Garbary Nr. 50.

Przedewszystkiem zanosimy prośbę do Szanownych Redakcyi, aby zechciały odezwę od czasu do czasu powtarzać, prosimy też prezesów Towarzystw, aby myśl poruszoną popierali w swych Towarzystwach.

Cichowiczowa. Drobnikowa. Zygmuntowa Dziembowska. Kusztelanowa. Zofia Kusztelan. H. Łebińska. Węclewska.

Z estrady i sceny.

(Przedstawienia jubileuszowe.)

Tydzień już mija od pamiętnych dni jubileuszowych, a nikt z nas jeszcze zapewne cierpkich uczuć rozczarowania z duszy wypłoszyć nie zdołał. Wrażenia te z kilku mętnych popłynęły źródeł, — lwią część krytyki pozostawiam sąsiadującemu ze mną feljetoniście, tu zaś pomówię tylko o części teatralnej, o sztukach i programie.

Zdawaćby się mogło, że w chwili tak uroczystej jak rocznica ćwierćwiekowego istnienia sceny narodowej, scena ta wystąpi nietylko w odświętnej szacie, lecz ubierze się w najpiękniejsze klejnoty artyzmu i wytęży wszystkie siły, aby choć przez godzin kilka dać nam złudzenie staranności i prawdziwej sztuki. Na progu teatralnym wszystko zdawało się szeptać nam do ucha wróżby pomyślne. Wodotrysk, — cichy zwykle i martwy — szumiał radośnie, girlandy lśniły nadziejną zielenią, a odźwierni w czerwonych frakach (niezwykła to nowość w teatrze naszym) zapraszali tak uprzejmie i tak żywo krzątali się wśród publiczności, jakby usunąć chcieli każdy cień sceptycyzmu i niezadowolenia. Pierwszy wieczór też istotnie zaliczyć można pod względem artystycznym do najpiękniejszych momentów jubileuszu. Grano *„Śluby panieńskie“*, a grano je tak, jak dawno już nikt z nas na poznańskiej scenie nie widział. Postarano się przedewszystkiem o stylowe meble staroświeckie, i lubo tam niektóre szczegóły psuły jednolitość stylu, to przecież teatr przemówił do nas echem dni ubiegłych, echem naszych dziadów i babek. A występujący w tych „Ślubach panieńskich“ artyści — wyłącznie stara gwardya, zabytki ubiegłego sezonu, — dali istotnie to, co najlepszego talent ich posiadał. Pan *Królikowski* w roli starego Radosta uplastycznił kłopoty swoje i poczciwe, rozpływające się w pieszczotach bratanka - lekkoducha serce z tak głęboko odczutą prawdą, jaką tylko wielki talent z duszy swojej wykrzesać zdoła. Gdy zjawiał się na scenie, cały w chmurach i piorunach, a potem zwolna, rozczulony karesami Wacława, w słońce się zamieniał, to nie psuł żaden ton fałszywy skali barw i cieni. Żywość, elegancya i rzutkość pana *Knapczyńskiego* święciła również tryumf prawdziwy, a tkliwy Albin w interpretacyi pana *Łaskiego* był na wskroś poprawny, na wskroś roztopiony w sentymentalnych westchnieniach. Powtarzam znowu, że p. *Łaski* na polu charakterystycznego komizmu szukać powinien wawrzynów, a fatalną przysługę ci mu wyświadczają, którzyby zwrócić chcieli talent jego w innym kierunku.

Z kobiet występujących należy się w pierwszym rzędzie uznanie pani *Jakubowskiej;* było bowiem w grze tej artystki nietylko zrozumienie typu ale i ta miłość sztuki, która żadnej intencyi autorskiej nie lekceważy, każdy ton najlżejszy widzom prezentuje, niczego nie topi w efekciarskich zakusach, niczego nie poświęca dla uproszczenia sobie zadania. Żal istotnie, że dyrekcya nie umie czy też niechce wyzyskać tego talentu i w trzeciorzędnych rolach ukrywać go lubi. Gra pani *Majdrowiczowej* w roli Anieli była również, mimo nieszczęśliwych warunków artystki, starannie opracowaną i odczutą, a pani *Królikowska* stworzyła doskonały typ matrony polskiej, niepozbawiony dystynkcyi, powagi i serdecznej pogody. Szła przytem sztuka bez piętna ambarasu na czole, a my, którym tak często, zamiast gry wygładzonej, scena niesie w dani próby teatralne, wsłuchiwaliśmy się z rozkoszą w harmonię, zwartość i jednolitość jubileuszowego popisu. Tam każdy klawisz odpowiadał i pojedyncze dźwięki w harmonijną składały się całość. Zresztą mają „Śluby panieńskie“ swój czar niespożyty; nam wykarmionym w duszącej atmosferze nowoczesnych utworów, w chorobliwem tchnieniu „Moderny“, potrzeba zaiste od czasu do czasu takiej czystej kąpieli, — tych prostych serc, prostych uczuć i tego słońca Fredrowskiego. Szkoda, że wraz z zaręczynami płaczliwego Albina z rezolutną Klarą i sprytnego Wacława z sentymentalną Anielą teatr nie pozostawił „Kołu śpiewackiemu“ zakończenia wieczoru, bo finałowy polonez z „Pana Tadeusza“ zgrzytnął dysonansem w uczcie artystycznej. Kto układał tego poloneza — nie wiem, ale była to lekcya tańca, — i nic więcej. Nie mówię już o rysunku, nie mówię o wykrzywionych liniach, o nieharmonijnych wężach i kołach, ale nie rozumiem, że odważono się wystąpić z jubileuszowym polonezem, którego uczestnicy nie znali dokładnie figur programowych, mylili się, plątali i błądzili po scenie. Pod koniec powstał istotny chaos, z którego tylko wylatywały jak na urągowisko głośne szepty: Nie tu! Na prawo! Tędy i t. d. Smutne widowisko, smutne pojmowanie sztuki i obowiązków!

Drugi wieczór jubileuszowy wywierał z góry niekorzystne wrażenie dziwaczną mozaiką programu swojego. Zdaje mi się, że powaga uroczystej chwili wymagała, aby którykolwiek z znakomitszych utworów poezyi naszej przesunął się w całości przed oczami widzów, a jeżeli już postanowiono złożyć „bukiet artystyczny“, to należało zaiste piękniejszych dobierać kwiatów. „Dzika różyczka“, scena więzienna z „Mazepy“ i drugi akt „Domu otwartego“ to wcale niezła składanka na codzień, ale przy uczcie jubileuszowej spodziewaliśmy się wytworniejszego „Menu“. Jednoaktówka Blizińskiego to utwór sympatyczny, ciepły i w łzach narodowych skąpany, — lecz chyba sam autor nie miał pretensyi, aby ten drobiazg sceniczny do pereł literatury zaliczyć. Zresztą „Dzika różyczka“ wymaga gry nastrojowej, wymaga starannego układu i zwartego „ensemble'u“. A w niedzielę wszystko się rwało i w milowych pauzach sztuka postępowała dysząc i sapiąc, nie ocalona nawet doskonałą grą p. *Skirmunta* w roli Radomira. Spotęgowała nadto ujemne wrażenie niestosowna obsada roli głównego bohatera. Pan *Knapczyński* jest bez wątpienia bardzo zdolnym, sympatycznym i rutynowanym aktorem, ale talent tego artysty nie posiada ani jednego akcentu tkliwości, ani jednej nuty lirycznej. Ztąd postać Brunona w interpretacyi p. *Knapczyńskiego* tylko w pierwszych momentach sztuki miała życie i szczerość, — natomiast w chwilach ukorzenia przed aureolą męczeństwa, nieskalanym honorem i prostotą Radomirów była zimną i sztuczną. Typ ten, nieprawdopodobny nieco w rysunku autora, stał się nieprawdopodobniejszym jeszcze w grze naszego artysty.

W „scenie więziennej z Mazepy“ wystąpił reżyser teatru krakowskiego p. *Józef Kotarbiński*. O grze tego artysty będę miał niebawem sposobność pomówić obszernie, bo zawita on do nas na czas dłuższy w gościnę i w swoich najznakomitszych ukaże się rolach. Do ról tych nie należy, jak mi się zdaje, Zbigniew Słowackiego. Kotarbiński nie stworzył typu Byronowskiego bohatera, lecz jakąś postać krewką i namiętną. W ruchach szeroki i dziki, w mimice gwałtowny, w słowach jak burza, rwący i szalony, nie uplastycznił on tego głuchego bólu, tego ponurego, zwartego spokoju, tego grobowego sentymentalizmu, który jest charakterystyczną cechą wszystkich typów, zapożyczonych od lordapoety. Był to raczej Otello niż Zbigniew, — ale za to grał *głosem* jak mistrz, jak nie gra żaden może z artystów polskich. Panna *Paszkowska,* porwana dzikością partnera swojego, rozwinęła również za wiele siły gwałtownej, ale w każdem jej spojrzeniu i każdem słowie syczał ból potężny i wielka skarżyła się krzywda.

Po „Mazepie“ wjechał na deski z muzyką, hołupcami, grzmotem i komendą mazurową „Dom otwarty“. Grano go dobrze i żywo, — a mianowicie pp. *Knapczyński, Wostrowski, Skóraczewski i Berski* oraz panie *Vernon i Skóraczewska* zdobywali huczne oklaski, — lecz wolałbym istotnie tych Fikalskich wraz z całą farsą cyrkową nie widzieć na scenie w chwili ćwierćwiekowego jubileuszu sceny narodowej. Jeszcze nam dźwięczały w uszach uroczyste słowa prologów, wygłoszonych z prawdziwym artyzmem przez *Władysława Bełzę* i pannę *Paszkowską,* gdy zgraja płaskich karykatur z łomotem wpadła na scenę. Podobało się to niewątpliwie paradyzowi, ale są momenty, w których na gusta galeryi spekulować nie wolno, są chwile, w których kupletów się nie śpiewa i koziołków nie wywraca.

Miał jednak ten wieczór niedzielny piękną, niezwykłą w teatrze naszym ozdobę. Tam na scenie, pod komendą dzielnego druha Zaremby, stanęła w mundurach amatorska kapela „Sokoła“. Zabrzmiała muzyka narodowa, zagrała

pieśń ojczysta i żywiej zabiły serca publiczności. A w loży parterowej chłopię małe, w strój sokolski przybrane, wyciągało rączęta i młodziutki „Sokół“ wołał: Czołem! Czołem!

W. R.

NA WYŁOMIE.

(Echa jubileuszowe. — Północ.)

Nazywają nas pesymistami. Mówią, że lubujemy się w żałobnych kolorach. Powtarzają aż do znudzenia basem i dyszkantem, że w krytyce naszej nie ma serca, tylko żółć, — a czasem pienią się, sycząc złośliwie, że ściągamy z piedestału powagi poznańskie, — my „młodzi“, — my, z których nikt senatorów naszych o błogosławieństwo na drogę, o „imprimatur“ nie prosił. To też ani jednej chwili nie wątpię, że skoro dziś pośród kadzideł jubileuszowych, których woń jeszcze skręca nam nosy, przyczepimy jedno maleńkie „nie“ do różnych „Ślicznie, wspaniale i poważnie“ odezwie się natychmiast z braminowych świątyń ponure krakanie. Dobrze! wolno wam krakać! Nie sądźcie jednak, że to dziś jeszcze wywiera wrażenie na ogół trzeźwo myślący, — na tych, o których nie można powiedzieć z Słowackim, że „myśl tam nie trwa nawet godziny“.

Srebrny jubileusz sceny narodowej przeminął i zagrało tysiąc surm pochwalnych ku czci i chwale kierującej ręki. O! tak, bądź błogosławiona ty, która w chwili uroczystej zgromadziłaś na estradzie przedstawicieli obywatelstwa, „Spółki“, „Pomocy“ i „Towarzystw“ poznańskich, — i bądź błogosławiona ty, która tylko dwom kategoryom ludzi, dwom korporacyom odmówiłaś prawa głosu: Prasie i artystom! Czytelnicy nasi z prowincyi i zagranicy, dla których obce są kręte ścieżyny labiryntów poznańskich i obcemi takt, poglądy i uczucia kierowników społeczeństwa, gotowi w słowach naszych upatrywać produkt chorobliwie rozgorączonej imaginacyi, bo trudno zaiste przypuścić, aby od jubileuszowego hołdu wykluczono tych właśnie, którzy są stróżami i pierwszymi kapłanami sceny narodowej: Prasę i artystów! Ale u nas kraj inny, kraj z odrębną logiką, odrębną etyką i odrębną taktyką. Tu miary zwykłego rozsądku i zwykłej sprawiedliwości przykładać nie można, — i dla tego dziwiąc się wierzcie, bo to, co w innych stosunkach zakrawa na bajkę i legendę, u nas jest prawdą bez cienia fałszu, bez cienia przesady.

Mówiłem przed kilku miesiącami, że przyczyna anormalnych stosunków teatralnych tkwi poniekąd w połączeniu dyrekcyi teatru z redakcyą „Dziennika Poznańskiego“. Antypatye pana redaktora pozostają antypatyami pana dyrektora, — więc, gdy nadeszła chwila uroczystego jubileuszu, szepnęła redakcya po cichutku do ucha dyrekcyi, że jest tylko Bóg jeden, a tym jest „Dziennik Poznański“, że poza tem prasa polska nie istnieje, a jeżeli jest, to taka, którą zdeptać trzeba. I któż miał mówić w imieniu prasy? „Kuryer Poznański“ — to wróg redaktora! „Orędownik“ — to wróg! „Postęp“ — to wróg! „Goniec Wielkopolski“ — to wróg! „Przegląd Poznański“ — to wróg! „Wielkopolanin?“ snać zapomniano o takim „drobiazgu“. Więc może sam „Dziennik?“ Nie wypada, — bo „Dziennik“ a teatr to jedno. Niech zatem milczy prasa, — lepiej bowiem, że najgorętszych miłośników teatru, najdzielniejszych obrońców sceny, krzewicieli oświaty, dzwonników świątyni narodowej nie będzie wcale na scenie, niż żeby stanąć tam mieli wrogowie „Dziennika“.

A zatem jest tu logika *sui generis*, jest system taktyczny wyostrzony jak brzytwa. Trudniej już odnaleźć motywa dla banicyi artystów z szeregu mówców jubileuszowych. Oni tak pragnęli tej scenie, która ich żywi i którą oni żywią talentem swoim, złożyć cześć i pokłon, lecz zaryglowano im usta brutalnie. Mówili kupcy i przemysłowcy, — milczeli artyści. Mówił lud zgromadzony w świątyni — milczeli kapłani. Wiem, że tego słowa dyrekcya nienawidzi, bo pogarda kierownika sceny dla każdej istoty, której imię jest „aktor“, przybiera z roku na rok coraz więcej symptomów chorobliwej idiosynkrazyi. Jeżeli prasa w oczach naszego „Ludwiczka XI“ jest fantem bez znaczenia lub robakiem godnym zdeptania, to aktor zwie się marnym kabotynem, a miejsce jego za drzwiami z kapeluszem w ręku. I dla tego nie otrzymał głosu żaden z artystów poznańskich, dla tego p. Siedlecki, który lat kilkanaście służył scenie naszej i z stron dalekich na gody jubileuszowe podążył, zaledwie uzyskał pozwolenie, by gdzieś w kącie przytulić się do filaru i ze łzą w oku spoglądać na deski, którym najlepsze lata życia swojego poświęcił. Nikt nie wymienił nazwiska jego, nikt nie wymówił słowa „artyści“. Wielu z nich posiwiało w pracy dla sceny poznańskiej, a nie pogłaskano ich nawet tak, jak się głaszcze psy wierne i zgrzybiałe na służbie. Czyż dziwić się zatem należy, że na bankiecie jubileuszowym zaledwie jeden aktor stanął do apelu a i on milczał z trwogi przed dyrektorem, — on artysta-kopciuszek, on Paria — kabotyn. Lubi się skarżyć dyrekcya na nizki poziom moralny tego świata kulis, którym kieruje i rządzi, ale jeżeli istotnie sąd ten nie jest mylnym, czyż takie spychanie artystów do sklepów i oficyn, taka pogarda okazywana tym, którzy słowa wieszczów niosą w tłum szeroki, nie strąci ich niżej jeszcze zamiast podnosić i uszlachetniać? Zresztą, cóż nam do ludzi! My kochamy sztukę i artystów i dla nich żądamy szacunku.

Lecz taka była wola pana i wodza, by zaryglować im usta, więc łzę połykali i milczeli z bolesnym protestem w głębinach duszy. Wyręczyli ich inni, a jak wyręczyli — pożal się Boże! Zdawało mi się chwilami, że to nie cześć oddana narodowej scenie, lecz lekcya ćwiczeń stylowych w jakiej sekundzie lub prymie. Jeden p. Dobrowolski znalazł serdeczniejsze akcenty, poza tem była susza, czczość, a nawet jąkanie. Mróz szedł ze sceny i nuda, — a wielka chwila hołdu nie była objawieniem serc przejętych miłością dla ojczystej sztuki, lecz wywierała wrażenie lodowego konwenansu. Zwyczaj tak każe, więc odmówiono pacierze jubileuszowe i koniec.

Charakterystyczniejszą jeszcze była uczta niedzielna, bo w tej uroczystej chwili zbratania, gdy miłość dla sceny narodowej najskrajniejsze łączyła żywioły, uznali niektórzy mówcy za stosowne skarżyć się na malkontentów i opozycyę poznańską. Ciskano w prawo i lewo kamieniami, przedstawiano posłów narodu i komendantów teatralnych jako męczenników, odsądzano wszystkich antagonistów wzajemnej adoracyi od rozumu, a w krytyce, budzącej się w społeczeństwie naszem do życia, upatrywano tylko najniższe instynkty. Pomijam już beztakt wprowadzania polemicznych dźwięków do jubileuszowego krasomówstwa, ale podnoszę tu kategoryczne potępienie krytyki jako charakterystyczną właściwość naszej oligarchii. Wrażliwość na opozycyę graniczy tu nieomal z histeryą. Ci ludzie przywłaszczyli sobie przywilej nietykalności, a ktokolwiek przed tronem ich głowy nie schyla pokornie, otrzymuje pogardliwe miano zarozumialca lub burzyciela. Ukuto sobie mianowicie słowo, zasłaniające stale brak trzeźwych argumentów, a słowo to: *Frazes*. Pozwij ty Koło polskie na spór polityczny, wytocz najpoważniejsze zarzuty i powiedz mu: „*Błądzisz*“, — oni o zakład odpowiedzą: „*Frazes*“. Sięgnij do ran społeczeństwa i przeprowadź najsubtelniejszą analizę, oni mówią: „*Frazes*“! Zdemaskuj brudy publiczne i powiedz najuczciwsze kazanie na temat moralności, — oni krzyczą: „*Frazes*“. Frazes i frazes bez końca. To wygodne słowo. Krótkie, nie wymaga pracy mózgowej a ośmiesza wroga.

To też wojowało niem bractwo wzajemnej adoracyi i grono tapicerów społecznych na uczcie jubileuszowej, a gdy nikt panów „nietykalnych“ do porządku nie powołał, lękając się słusznie, by uroczystości burza nie zmąciła, my dzisiaj przeciw tej nadczułości teatralnych i politycznych królików protestujemy z całą stanowczością. Kto wstępuje na arenę publiczną, — czy to on poseł, czy dyrektor, czy ekspres komitetów wyborczych, — musi nietylko szanować krytykę, ale jej pożądać, — kto zaś posiada tak czułe nerwy, że najlżejsze „Veto“ przyprawia go o spazmy histeryczne, ten niechaj spać się położy...

* * *

W chwili, gdy kończę ten feljeton, uderza północ, a nigdy jeszcze dzień nowy taką nie zabrzmiał mi skargą. Sto lat niewoli, sto lat sieroctwa i sto lat męczarni płacze w tym jęku i oto głos zegaru rozegrał mi się w jakąś pieśń potężną, która zgina kolana i w proch głowę chyli. Wiek cały!... Rozpaczą dyszy ten wyraz, lecz hańba temu, kto na progu zostawi czyn i nadzieję i bez nich pójdzie w nowe stulecie!

Sulla.

KRONIKA POWSZECHNA.

* **Wiadomości społeczne i polityczne.** Według dotychczasowych obliczeń nie uzyska prawdopodobnie większości w okręgu pszczyńsko-rybnickim p. Radwański, kandydat ludu polskiego. — Z Petersburga donoszą, że niedaleko Lugi wykryto nową sektę, mordującą dzieci na mocy swoich przepisów religijnych. — Dla spraw prasowych ma być przy sądzie ziemiańskim w Lipsku ustanowiony rzeczoznawca w osobie redaktora. Wszystkie gazety niemieckie witają wiadomość tę z radością. — Ks. Borys, bułgarski następca tronu, ma już w przyszłą niedzielę przejść na łono kościoła prawosławnego. — Rosyjski minister finansów Witte zamierza w najbliższym czasie złożyć swój urząd.

* **Teatr i muzyka.** Z powodu choroby panny Paszkowskiej „Fernanda“ ukaże się dopiero w najbliższy czwartek na scenie poznańskiej. Od czwartku za tydzień zaś odegraną zostanie na benefis p. Jakubowskiego „Balladyna“. — Warszawski teatr „Rozmaitości“ wystawi niebawem sztukę Alfreda Konara p. t. „Gąsienice“. — Nowości teatru niemieckiego: Oskara Blumenthala „Hrabina Fryderykowa“, Gustawa Davis czteroaktowa komedya „Katakumby“, dramat l'Arronge'a „Pastor Brose“, Schettlera „Umarły“. — Suppego pośmiertna opera „Model“ znalazła w wiedeńskim „teatrze Karola“ sukces zupełny. — Na scenie poznańskiej wystąpi niebawem gościnnie pani Stachiewiczowa ze Lwowa i pan Kotarbiński z Krakowa.

Odpowiedzi Redakcyi.

Abonentowi. W sprawie tej udzieli Panu bliższych informacyi każda encyklopedya. My zaiste nie mamy ani czasu ani miejsca, aby w kwestyi takiej udzielać dokładnych i wyczerpujących informacyi. W krótkości zatem tylko podajemy Panu do wiadomości. że kolebką Buddhyzmu są północne Indye. Buddha oznacza tyle co „przebudzony“, t. j. taki, który przez poznanie prawdy i dobre czyny „uwolnił się z więzów istnienia“ i przed zupełnem zejściem z tego świata głosi naukę, wiodącą do „uwolnienia“. Twórcą Buddhyzmu był królewicz Siddhartha z pokolenia Sakja, panującego w 7-mem stuleciu nad równinami Gangesu i krajem na północ od równin tych położonym aż do stóp Himalai. „Sakjamuni“, przydomek Siddharthy oznacza tyle co „pustelnik Sakjów“. Nauka pierwotnego Buddhyzmu streszcza się w trzech prawdach: 1) Boleść jest następstwem istnienia. 2) Boleść powstaje przez istnienie samo, przez pragnienie tego istnienia, przez szukanie zadowolenia w istnieniu. 3) Boleść ustępuje z chwilą, gdy człowiek przestaje szukać zadowolenia w istnieniu a ginie zupełnie, gdy istnieć przestaje. Takie nieistnienie zwie się „Nirwaną“; Nirwana nie jest więc śmiercią faktyczną lecz samozapomnieniem, bezczułością na warunki życia. Drogą, wiodącą ku Nirwanie jest głuszenie najlżejszych namiętności i pragnień. W późniejszych wiekach uległa nauka Buddhyzmu rozlicznym przeobrażeniom.

Mar. Podzielamy zupełnie opinie Pani w tej sprawie; głosu jednak nie zabieramy ze względu na to, że jak nas informują z wiarogodnego źródła, ks. arcybiskup Stablewski uznał podobno za fałszywe damskie pomysły i zapobiegł im skutecznie. Fundusz im. ks. kardynała Ledóchowskiego nie zostanie zatem przeznaczony na wysyłanie młodych księży do Rzymu, „aby tam nabrali poloru i nauki“, lecz złożonym będzie na „Pomoc naukową dla dziewcząt polskich“. Czy słusznem jest przypuszczenie Pani, że w „pomysłach damskich“ odgrywały rolę postronne cele i sympatye, nie wiemy, ale to pewna, że protektorstwo wobec młodych kapłanów stało się modą i manią w „wyższym“ świecie kobiecym i należy „do tonu“. Cześć ks. arcybiskupowi i cześć tym Polkom-patryotkom, które odważnie i energicznie broniły zasady, że pieniądz polski na polskiej ziemi pozostać powinien. Kościół tak znacznemi rozporządza funduszami, że od nas nędzarzy groszy nie potrzebuje.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Kazimierz Hojnacki z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“. Czcionkami W. Simona w Poznaniu.